



**BIBLIOTEKA  
DZIEŁ WYBOROWYCH**



313644

PRINTED IN POLAND  
COPYRIGHT BY  
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Wpisano do Księgi Akcesji

Wsk. D1 nr WA 01 /2011/ .....

*CZERWONY TEATR.*

*Alea jacta est.*

— Spójrz — powiedział do mnie niegdyś mój przyjaciel — jak dziwnie układa się nam życie w Polsce niepodległej! Ledwo ustawiono graniczne słupy, ledwo okopano jako tako ten społeczny tabor, w którym schroniło się wszystko, co chce żyć — i używać — zarówno zaci ni obywatele, jak i obozowe ciury (że nie powiem: szczury!) — zaledwie ugaszono groźny pożar wojny, rozwalilo się społeczeństwo w edredonowych puchach bezpieczeństwa, jak, nie przymierzając, łyk obskurny, który nagle odziedziczył spadek..

— Hm.

— Nie chrząkaj!

— Mam wrażenie, że przesadzasz. Nie wszystkim dzieje się tak aksamitnie..

— Nie przesadzam. Mimo powszechnego narzekania zarobili właściwie wszyscy. Tak jest: wszyscy! Bo, jeżeli stwierdzimy nawet, że ten i ów miał przedtem więcej gotówki, że się tuczył prędzej i że ten pro-

ces tyca został powstrzymany przez „wybuch niepodległości” — musimy sobie powiedzieć, że wszystko, co się działo dawniej, działo się pod batem!

— Aaa — z tego punktu widzenia.

— Jakież może być inny punkt widzenia?

— Racja.

.....

Mój przyjaciel już nie żyje. Umarł nagle, piękną śmiercią Cyraņa, rycerza z Bergeracu.

Nie wyjaśniło się dotychczas — i napewno już nigdy się nie wyjaśni — czyja zbrodnicza ręka przyspieszyła jego zgon...

Zresztą, czy koniecznie potrzebne jest materialne pchnięcie? Czyż tylko kłody zbijają?

Śmierć leci tysiackroć prędzej, niż ciężar, stoczony z krawędzi dachu...

.....

Nie miał mój przyjaciel Roxany w swem życiu. Ani jednej.

Chociaż nieraz wkładał własną duszę w cudzą pustkę — i przydawał śpizowego tonu anemicznym brząkaniom obcych lutni...

Gdy więc nie płaczą za nim niczyje chabrowe, czy agatowe oczy; gdy nie pławi się w złotej melancholji wspomnień niczyja pieśń — oddam dzisiaj przyjacie-

lowi ostatnią posługę ja — człowiek mały i nawszkroś przyziemny.

Uczynię to tem łacniej, że właśnie idą dni sierpniowe, bardzo pamiętne, dni niegdyś wojenne i szumne, a dzisiaj dziwnie, niezrozumiale głucho... Właśnie tak głucho, jak gdyby okres lat siedmiu był stuleciem, dla wspomnień — niemiłosiernem...

Aby dać świadectwo prawdzie starej, która powiada: „Broń mnie, Boże, od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę“ — postąpię tak właśnie, jak na przeciętnego przyjaciela przystało:

— Zdradzę powierzoną mi tajemnicę.

Przyjaciół mój pisywał wiersze i dramaty. Gdy jednak przyszło pamiętne lato 1920 roku, nie pojechał za granicę robić propagandy, ani nie przystał do żadnego biura prasowego, czy sztabowego—tylko poszedł na front i w dodatku — z lancą.

Z tych czasów zachowały się jego arcywesołe a zarazem nieco zgryźliwe zapiski, w których szydzi z siebie i ze swych znajomych, parska śmiechem wręcz serdecznym i bluźni patosowi zdarzeń, traktując wojnę, jak najgorszy teatr.

Owszem.

Jest jeden przedmiot, o którym mówi szeptem; jest jedno słowo, które wymawia, błędąc:

— Ojczyzna.

*Ale szepce rzadko — i rzadko błędnie. Zaiste! Podobny był do owego gąskończyka, który jeszcze w agonji układał o sobie uciészne wiersze...*

*Macie zresztą ten dosyć lakoniczny djarjusz wojny. Nosi kpiarski tytuł: „Literatura z lancą“.*

*Jest tam motto z historii klasycznej: „Alea jacta est“.*

*Tłumaczy się ono dostatecznie w zestawieniu z tytułem...*

---



10 lipca 1920 roku.

Okazało się, że przysłowia są niezawsze mądrością narodów. Zwłaszcza to jedno, o Panu Bogu i o piecu, ogromnie w Polsce popularne. Okazało się, że niedobrze jest siedzieć „jak u Pana Boga za piecem”. Satysfakcja praktykowania t. zw. wolnej i nieprzymuszonej polskości musi, mimo wszystko, trochę kosztować.

Najmężniejsze wojsko nie potrafi łykać żywego ognia, ani robić jajecznicy w kapeluszu. Szczególnie wtedy, gdy jest zawszone...

To się udaje podobno czasem na końskich jarmarkach. No, i w Indjach. Ale nasz klimat naogół nie nadaje się do robienia cudów. Poprostu, dwa razy dwa — jest cztery.

Okazało się...

— Co tam wiele gadać: Trzeba iść do wojska, bo inaczej Polskę djabli wezmą.

11 lipca.

Biją w nas, jak w bęben. Jest to tragiczne i śmieszne zarazem. Nie potrzeba chyba tłumaczyć, dlaczego tragiczne? — Dlaczego śmieszne? A, bo się wszyscy obrażają! Parole d'honneur: połowa polskich ciotoyenów ma miny przedewszystkiem obrażone... Oni nas piorą. .

A my się obrażamy!

. . . . .  
Poszedłem dziś do fryzjera i kazałem się ostrzydz przy samej skórze.

— POCO? — pyta.

— Idę do wojska.

— Pan dobrodziej???

Długo nie mógł się uspokoić. Miał gębę rozżaloną i pokrzywdzoną. Po bezskutecznej polemice oświadczył, że mnie oszpeci, ale na mój wyraźny rozkaz, że

żadnej odpowiedzialności za konsekwencje tego obrzydliwego czynu na siebie nie bierze, że mnie uprzedza, iż, wbrew powszechnemu mniemaniu, wbrew utartemu przekonaniu, takie ostrzyżenie fatalnie wpływa na porost włosów... Zaczem, podzwaniając nożycami, zaczął mnie smyczyć, cały czas gadając. Oczywiście, uskarżał się na los, który Polskę prześladowuje, bo niedość, że niewiadomo co będzie z wkładami oszczędnościowymi, złożonemi przed laty w kasach pocztowych, ale nam jeszcze teraz granice najeżdżają...

Potem udowadniał, że to jest podłość ze strony bolszewików i skandal, bo przecież 13 punktów pana prezydenta Wilsona...

Wszyscy moi znajomi są śmiertelnie obrażeni. Jedni na Lenina i Trockiego, inni na nasze Naczelne dowództwo.

Trzęsą się po kawiarniach:

— Nie! Żeby do takiego blamażu dopuścić!

Przekonywam się ze wzruszeniem, że jesteśmy szalenie dobrze wychowanym narodem. Dawniej, gdy trzeba było dawać kwartę, trzęsa się Rzeczpospolita. I teraz się trzęsie. Boli nas nietakt najazdu.

Rocznica wzięcia Bastylji. Dzień moich urodzin. Zaciągnąłem się do 1-go pułku szwoleżerów. Właśnie dziś! Oby to był dobry omen!

15 lipca.

Byliśmy na komisji. My—to znaczy ochotnicy!  
Jezusie Nazareński... Co za komika...

Więc najprzód, sentyment. Worki, wozy, wago-  
ny, transporty sentymentu!

Jeden z drugim, łobuz taki, przypomniał sobie  
z półrocznem opóźnieniem, że naszych żołnierzy  
wszy gryzą, no, a nieprzyjaciel pierze.

Ale miny — jak u pierwszych chrześcijan.

Publika, niczem w tramwaju: pół kopy studen-  
tów, trochę sztubaków, drżących, czy ich jeszcze  
czasem rodziciele nie wytaszczą z wojska za wichry;  
trzech, czy czterech bankowców... Ziemiak kilku,  
bardzo zadzierzystych... Aż dwóch fornali!.. Widać  
dziedzice swoich murzynów zaagitowali... Prócz te-  
go giser jeden, morowy bardzo, jakiś murarz, noto-  
ryczny alkoholik, szewczyk...

No, i Antków kilku. — I ja.

Wymaszerowaliśmy z kadry z okrutnym łasodem. Z Ułańskiej, koło pomnika „niepraktycznego” króla, stromo pod górę, w Aleje, potem Nowowiejską. Niektórzy kokardki mieli. Na piersi. A jakże! Żeby wszyscy widzieli, że się idą bić z dobrej woli... Że za kwadrans gotowi są spłynąć krwią za tę skołataną, niemrawą społeczność...

— Paradne!

Rej wodził między nami jakiś gazeciarz z nad Wisły, frant nad franty. Sienkiewiczowski Rzędzian nie wartby mu butów ściągać: bo to spryt szatański, przytem werwa!

Osiodłał w pięć minut dwu hrabiów, którzy się też zaciągnęli do szwoleżerów (tak, proszę państwa!) — osiodłał studenterję — i tę literaturę od siedmiu boleści, też.

— Prawa! — Lewa! Prawa! — Lewa!

Szedł z nami wachmistrz jakiś i dwu plutonowych, dla porządku, bo przecież kupa była duża; ale co tam wachmistrz i wogóle, szarże! Zbledli wszyscy wobec tego andrusa warszawskiego!

— Panowie, towarzysze... Do cholery ciężkicj! Albo jezd wojsko, albo nima? Jak się panowie w no-

gie nie mogą zgodzić, to możeby lepiej wrócić do ty kochany kadry? O, rany...

Było gorąco. Pot spływał nam z czoł. Bo też nikt nie był zwyczajny walić takim wielkim krokiem po bruku...

A swoją drogą, w tem coś jest, w maszerowaniu. Kiedy się roztrzęsione, dowolne, niezręczne ruchy masy zwiążą — kiedy ludzi w pewnej chwili ogarnia i porwie rytm pocl.odu, ustala się nagle w szeregach jakowaś płynność, potoczystość, najczystsza radość ruchu! Pierś oddycha szybciej, mięśnie się prężą, głowa mimowoli idzie do góry, oko błyszczy — co tam błyszczy: wyzywa!

Chciałoby się tak iść gromadą, nic a nic nie zwłócząc, prosto na wroga — i bić weń taranem woli, krusząc wszystkie przeszkody...

— To rozkosz marszu.

Cóż dopiero — kawaleryjski cwał?

Przyszliśmy na podwórze domu, w którym „zasiadała” świetna komisja, w bardzo pięknym porządku.

Jakoś tak się stało, że każdy przedtem pomyślał, iż wypadnie się godnie zaprezentować. Wkroczyliśmy tedy na ów dziedziniec, jak jeden grzmot.

Nawet pruskie żołdaki, wytupujące platformą re-  
spekt dla jeneralicji, lepiejby tego nie zrobiły...

I naraz przywitał nas radosny falset:

— Józiu, bracie - patryoto, ty także tutaj?

Nasz andrus skoczył się witać z drugim andru-  
sem, który ów okrzyk wydał. Byliśmy źli, bo to nam  
popsuło trochę efekt debiutu. Tymczasem zaczęły  
się między nimi publiczne czułości:

— Te, frajer, aleś ty samych hrabiów nafaso-  
wał, jak Boga mojego kocham!

Po chwili:

— Kombinator, słowo daję! Chce z panami ko-  
niecznie na wojnę jechać konno!

— Paszoł, bo się towarzystwo obrazi.

— W taki chwili? Na rodaka? Co też ty mó-  
wisz, Józiu? Przecież mamy hurtem na tego bolsze-  
wika iść... Nie? Musi być solidarność w proletarja-  
cie?

Przyciął i mnie:

— Pan dobrodziej także tu? O, to już będzie  
morowa ofenzywa na tych rusków: ja pana dobro-  
dzieja znam. Pan do gazet pisze, wiem... Ale poco  
pan sobie włosy spuścił? Nie szkoda urody?

Ziemiańskie się chmurzyli, bankowcy i studenci  
parskali śmiechem. Zrobiłem, zdaje się, minę niewy-

rażną, bo po mnie' to dziecię Warszawy jeździło jeszcze trochę wszere i wzdłuż. Ale gniewać się, ostatecznie, nie było o co? Było człowiekowi tak jakoś głupio i miękko na sercu... Bo jakże... Wszystkie stany...

Utrwalił we mnie tę „wszechstanową“ rzewność jakiś skryba wojskowy, gdyśmy weszli niebawem do sal komisyjnych; utrwalił liljowym ołówkiem Koh-i-noor (a może i krajowym Majewskim) na gołych łopatkach.

Byliśmy bowiem rozebrani do naga i pisano nam na plecach dla większej szybkości procedury, cyfry kolejne...

— Miły Boże! O taki sam drobiazg wybuchła za czasów niemieckiej okupacji mała rewolucja w Rypińskim, czy Płockim: nie chciały harde polskie chłopcy pozwolić, żeby im pludraki wypisywały na plecach tabliczkę mnożenia...

Teraz jednak nikt się nie obrażał.

Paradowaliśmy, jak rajscy święci, trzymając oburącz dolną garderobę i dając jedyne w swoim rodzaju widowisko kucharkom i młodszym z przeciwka.



Z pierwszej izby do drugiej, z drugiej do trzeciej. Jakimś kurytarzem o woni do tego stopnia wojskowej, że aż się słabo robiło — znowu do pierwszej sali. Kolejka stolików, przy których spoceni i utyflani w atramencie podoficerowie i pisarze komisyjni notowali pilne personalja, lata, kwalifikacje zawodowe, potrzebne i niepotrzebne szczegóły osobiste...

Okulista też tam był. Drżałem, że zakwestjonuje moje 9 diopry i pośle mnie do diabła...

Ale badanie ograniczało się, jakem skonstatawał, do stereotypowego pytania:

— Pan dobrze widzi?

Każdy naturalnie odpowiadał, że widzi świetnie. A więcej nie wybiedzano.

Bo —

Bolszewicy podchodzili już pod Białystok...

---

Były chwile bardzo osobliwe. Zapisał mi się w pamięci pewien starozakonny obywatel, który chciał koniecznie do kawalerji. Pokraczny, niski, z zapadniętą piersią, niesamowicie owłosiony, starszawy jakiś człeczyna, może krawiec? Może kamasznik?

— Na ochotnika?

I zamysliłem się mimowoli nad dziwnym fenomenem, któremu jest na imię: Polska.

Pomyślałem, że tysiące głupców wyłażą ze skóry, żeby ten kraj wszystkim doszczętnie obrzydzić, zohydzić... Tysiące idiotów wyjmują zeń drobne śrubki i mutry, flansze i pakunki, demontują, rozbierają, rozkładają... Inni znów kradną fundamenty, cegła po cegle... Szarpie się, plwa i intryguje *belle alliance israelite* — a przecież znajdują się jeszcze czasem tacy biedacy z nalewkowskiego ghetta, którzy chcą za wszelką cenę iść do polskiej kawalerji...

Czemże jest wobec tego patryjotyzm moich szanownych kolegów, którzy postanowili służyć w propagandzie... W biurach... W sztabach... Którzy chcą informować... pisać odezwy... rysować plakaty... karykatury...?

Co ja znaczę? Co my znaczymy? Każdy ma przecież tyle do stracenia: tradycję, głęboką, jak ocean... Język ukochany, jak własne nazwisko... Ziemię, nie raz bardzo bogatą i niepospolicie piękną... Sztukę, porywającą w niebo...

— ten śmieszny człowiek?

Upał. Jesteśmy półnadzy, a przecież oblewamy się gorącym potem. Wodzą nas od Annasza do Kai-

fasza. Od stołu z dokumentami, do drewnianej gilotynki, spadającej na ciemię. Ztamtąd do jakiejś wagi...

Wreszcie koniec. Hołubiec i podziękowanie. Zostaliśmy, z paru wyjątkami, przyjęci.

(— Bolszewicy podchodzą pod Białystok...)

Wracamy do kadry.

Nie wiem, jak się czuje młoda oblubienica przed nocą poślubną. Zapewne tak, jak czuliśmy się wówczas wszyscy. Było nam gorąco — i głupio — i tak jakoś porywająco wzniośle — i śmiesznie...

Nie to, że się jakiegoś wielkiego czynu dokonało. Gdzież tu wielkość? Obowiązek, spełniony, jak się rzekło z wielkiem opóźnieniem...

Ale może właśnie świadomość tej obłożnej choroby Polski — połączona ze świadomością, że się przecież tej chorobie neda zabić organizmu, że się jednak wkroczy, że się, psia krew! — ręce po łokcie urobi, głową mur przebije, a nie da — nie da!

Maszerowaliśmy alejami Ujazdowskimi, z powrotem na dół, na Ułańską. Warszawa, niewiadomo zkad, już się dowiódziła o naszej „gotowości bojowej”.

Moc kobiet w jasnych sukniach, w jasnych ka-

peluszach, ozdobnych pantofelkach, wyległa na chodniki. Jacys starzy panowie. Jacys chłopcy...

Ktoś, bez dostatecznego powodu, dał nam bravo. Oklask ten podchwyciła grupa najbliższej stojących osób — i tak już towarzyszyły nam te oznaki łatwego entuzjazmu przez całą drogę do koszar.

Im dalej, tem było gorzej. Ktoś w tłumie zdaje się, siąkał... Ktoś bodaj nawet pochlipywał... (Mazgajski naród, te polaki!)

Kilka młodych kobiet szło za nami w pewnem oddaleniu. Zapewne miały w szeregach ochotników — krewnych, braci, czy narzeczonych...

A towarzysze fornale wsuwali ukradkiem chleb z kiełbasą, aż im się uszy trzęsły! O, zaraz można było poznać, z kogo na froncie będzie pociecha, kto się na wojnę nada bez frazesów i głupich, parszywych sentymentów.

Gdyśmy weszli między drzewa Łazieniek, gdy błysnęła tafla cichej wody, drzemiącej przed ślicznym, opuszczonym pałacem — ocknął się naraz nasz guide nadwiślański, miły andrus — i zaintonował:

— „Maryśka, Maryśka...”

I w takt tej niewybrednej piosenki, odbijając strofy obcasami, szliśmy nadół do kadry I-gó pułku

szwoleżerów — do naszej kadry — dumni, jak bogowie!

Pomyślałem:

— Dalibóg, że to jest conajmniej równie piękne, jak wiersze Rimbaud...

18 lipca.

Mamy w naszych koszarach od samego rana ruch niebywały. Odbywa się bowiem „pośpieszny wypiek szwoleżerów“, Niewiadomo jeszcze, czy się ciasto uda — czy też wyjdzie może z malutkim zakalcem?

Na dobrych chęciach, oczywiście, nie zbywa.

Więc toczą się boje zgoła nadzwyczajne — między duchem wojskowości, że tak powiem, a „wrednym duchem cywilbandy““. Terminologja naszego wachmistrza - szefa.

Może tam gdzieś, w innych szerokościach, ćwiczą żołnierzy lepiej... Ale już chyba nigdzie tak gorliwie, jak u nas!

Trzeba przytem zauważyć, że, jak to zwykle bywa w polskim życiu, rzecz sprowadza się przeważ-

nie do improwizacji. Improwizują wyższe szarże, improwizują subalterni — no, i my też.

Z powodu ogromnego napływu ochotników, którzy sypią się teraz, jak z rękawa, niema mowy o regularnym maneużu, o strzelnicy, o ćwiczeniach bronią i mustrze.

Wypędzono nas wprawdzie raz, czy nawet dwa razy na plac — ale skończyło się na kilku bacznościach i równaniach...

Konie w stajniach, obżarte, jak bąki, roznoszą żłoby. Ogiery rżą. Klacze kwiczą. Dyżurni walą się z nóg, bo prócz naszych dwu fernali, którzy się znają na tem — nikt nigdy przy koniach nie chodził...

Panowie ziemianie lepiej kapują, ale też niebardzo, bo inna rzecz zawołać tubalnie:

— Antek! Kasztana osiodłaj, duchem — ! a inna znów rzecz — chodzić koło takiego kasztana personaliter, albo wynosić gnój z pod szkapy...

W takich warunkach dzieją się jednak od czasu do czasu rzeczy emocjonujące i pełne uroku.

Wczoraj wpadł do szwadronu pewien młody chorąży, zarządził zbiórkę, wyprowadził nas na sam koniec placu i — rąbał przez dobre pięć minut jakiś wiecheć. Pokrzykiwał przytem wściekle:

— O! To się tak robi, ofiermy zatracone!

Ale atak gorliwości minął dziwnie szybko. Na zakręcie ścieżki, prowadzącej do nas, ukazały się dwie panie: jedna stara i gruba, druga młoda i smukła.

Nasz chorąży zawołał:

— Czekać! Ja zaraz — i tyleśmy go tego dnia widzieli.

(Okazało się potem, że to była jego narzeczona z matką. Chłop zakochany, młody...)

Nie dziwota, że wolał pójść z niemi, jak rąbać kukłę słomianą... No, i nie dowiedzieliśmy się, które cięcie jest najbardziej mordercze i zgubne dla nieprzyjaciela. Koledzy są zdania, że jak się nadarzy okazja, to sami sobie stworzymy potrzebną technikę. Złote słowa!

Coś okropnego ! Staję na zbiórkę. Przychodzi jakieś indywiduum, które ma dwie naszewki czerwone — i patrzy dziko. Wyciągam do niego rękę i wymieniam moje nazwisko. Koledzy szepcą gorączkowo: — „Mówisz do kaprała, warjacie!“ — słowo honoru, że nie wiedziałem. Ktoś zaleca mi półgłosem, żebym się prężył. Prężę się. Wyciągnięta moja ręka wisi w powietrzu. Kaprał — (albowiem on to był) — miażdży mnie spojrzeniem. Prężymy się wszyscy. Półpluton. Ja — (Dr. Lit. Dr. Jur) — kilku ziemian,



jeden student, znakomty footballista, jeden malarz, jeden ginekolog i jeden głuchoniemy. (Przyjęto go do nas przez omyłkę. Został później przydzielony do Propagandy).

Kapral przemawia!

Jak straszliwą elokwencję posiadał ten człowiek! Mówił obrazami jak Apokalipsa, a każdy obraz na wieki rył mi się w wyobraźni. Dokładnie słów nie pamiętam, bo byłem do głębi wzruszony, pamiętam tylko najprzód te obrazy — a potem jeszcze raz te obrazy... Więc najbardziej utkwiło mi w pamięci takie widzenie: Wojsko (wieloryb) pożera cywilbandę (małe pieski). Pan Bóg grzmi (nawałnica), wszystkie konie w szwadronie się śmieją. Czy może komu się zdaje, że jak wszystkie konie w szwadronie się śmieją, to jest zabawne? 200 koni? O, nie! To jest przerażające!

Potem jeszcze przedstawił nam taką wielką Ofermę, tonącą w morzu Cykorji... Miałem wrażenie, że zapadną się w ziemię. Kolega ziemianin schwycił mnie za ramię a footballista chwiał się, jak sitowie. Potem jeszcze mówił nam kapral o obowiązkach względem przełożonych, przyczem wyjaśnił dobitnie, jak wielka przestrzeń dzieli pospolitego ochotnika od pudła ordynańsa wachmistrza - szefa. W tem miej-

scu jeden z ziemian ryknął płaczem a wszyscy pozostali czemprędzej poodpinali kokardki... Wreszcie kaprał skomenderował:

-- Rrrrozejść się!

Ja **rozszedłem** się przez lewe ramię, skutkiem czego musiałem wrócić i z miejsca rozchodzić się dwanaście razy przez prawe ramię. Przyszedłem wówczas do wniosku, że Kopernik był tuman.

— Potem była zupa. Grochówka.

Niegdyś. Zanim uzyskałem stopień dr. Lit. dr. jur. — przez trzy lata opiekowałem się sympatycznym bardzo chłopcem, młodym hrabią Pietuchowiczem. Odbywałem z nim dłuższe rajdy kawaleryjskie, ba! raz nawet, na imieniny cioci mojego pupila, pojechalśmy konno ze Snobina do Bezbereźni, opętanych siedem mil bez popasu. Myślałem, że dobrze jeżdżę konno...

Łatwo wyobrazić sobie moje uczucia, gdy, po raz pierwszy jadąc na maneżu, usłyszał stentorowe

— Te, ochotnik! Trzeci od końca. Jak jedzie. Nie jechać mi tam na rodzinie!

Jestem sierotą. Mam tylko dwie stare ciotki. Czy sobie mnie wyobrażacie jadącego konno na dwu starych ciotkach?

Nie dali mi jechać. „na rodzinie“, kazali natomiast wszystkim bez wyjątku jechać „na ogonach“. To znaczy, żeśmy musieli napierać końmi na zady końskie a konie były w szwadronie wierzgliwe i jechać na ogonach było niepodobieństwem. Kolegę ginekologa kopnęła w udo kasztanka prezesa Ozorkowskiego oddziału związku ziemian. Biedak kulał przez cztery dni. Potem musieliśmy na rozkaz wskakiwać na koń bez strzemion. Miałem wyjeżdżoną klacz, więc dwa razy mi się to udało — za trzecim razem jednak było to bardzo bolesne...

Niestety, nie mogę bliżej objaśnić, dlaczego — Tego dnia mieliśmy b. dobry obiad. — Grochówkę.

---

Większość z nas przyszła do kadry we własnych mundurach. Wyglądaliśmy nadzwyczaj barwnie. Kilku miało lampasy koloru krwi, kilku miało amarant, jeden był cały khaki, jeden zielony, a jeden granatowy.

Kiedyśmy po raz pierwszy zostali wyznaczeni na warty (12 godzin) — padał deszcz i pozachodziło nam na niebiesko. Już to trzeba stwierdzić, że nasz przemysł tekstylny i tkacki posiada liche barwniki. W tym samym mniej więcej czasie pewien

ochotnik całkiem szczerzył a inny — doszczętnie spomarańczował.

O mały włos byłby musiał stanąć do karnego raportu, aleśmy wytłumaczyli plutonowemu, że ón nienaumyślnie.

Dnia tego piliśmy Monastik Kantorowicza...

Zawsze starałem się racjonalnie ustalić moje stosunki do społeczeństwa, kierując się w tych rzeczach wysoko odczutyim pojęciem obowiązku i odpowiedzialności. (Hm...) Nie zawaham się nawet i powiem, że byłem niezawodnie jednym z tych nielicznych, dla których patriotyzm jest gwiazdą życia. Byłem przytem skromny i wymagałem od ojczyzny niewiele. Powiem jednak, że kiedy złapałem w koszarach pierwszą dużą pchłę, zdawało mi się, że cała Polska na mnie patrzy, że wznosi ku niebu zażawione oczy (Polska) i szepce: „Policz mu to, Boże, wszak cierpi dla mnie“.

Niebawem jednak przyszedłem do wniosku, że nie warto się rozczulać z tak małej przyczyny, albowiem ochotnik w kadrze tak się ma do pchły, jak 1 : 10.000.000. To mi dało zupełny spokój ducha. A kiedy ginekolog haniebnie zdezerterował do szpitala,

(ktoś mówił, że go nam zafasowali, ale nie wierzę, bo co po ginekologu w ułańskim szpitalu?) zafasowałem Maok ginekologa i stało mi się całkiem dobrze.

(Teraz Pani zrozumie, Pani Lili, jak niepotrzebną, jak niesprawiedliwą i niesłuszną była scena, którą mi Pani wówczas zrobiła!? Czy mam przypomnieć?... Przyszedłem do Pani w odwiedziny za pierwszym urlopem, a Pani była tego dnia bardzo dobra dla mnie, usiadła Pani przy mnie i gotową była badać — — a ja się odsunęłem?...

O, pani! Ja nie chciałem dopuścić do tego, żeby moją ukochaną gryzły moje... pchły!)

— — — — —  
Wracam jeszcze myślą do tych bohaterskich czasów, kiedy to nas, cywilnych zjadaczy chleba, prze-rabiano... nie na aniołów wprawdzie, ale na kawalerzystów. Czasu było mało, a mieliśmy być morowi.— To słowo nie wywodzi się od „mory” — nie od „mur” ani też od „mór” — tylko od: „morowiec”. („Morowiec” znów — wywodzi się od „morowy”).

Kadra piecze morowców z tej samej mąki, z której się piecze zwykłych szeregowców, z tą tylko różnicą, że morowiec, tak jak razowiec, niema powłóczystości i śnieżnego powabu „przedniej pszennej”, ma natomiast zadzierzystość i tężyznę. Wzięto nas

ostro na żarna koszarowe, zapowiadając, iż ktoby tego nie wytrzymał, zostanie po wsze czasy ogłoszony za ofermę. Każdyby wolał raczej znaleźć się pod zarzutem ciężkiej zbrodni, np. kradzieży z włamaniem, albo zbrojnego rabunku. Tedy, jeśli który z nas bywał bodaj ofermiasty — leczyli go z tego dobrzy koledzy radą, przestrożą, względnie, rękoczynem.

Dyscyplina była szalona. Bez przepustki na miasto nikt nie wychodził (chyba, że...)

21 lipca.

Myśleliśmy, że dziś nareszcie dowiemy się czegoś więcej o sztuce wojennej: od samego rana zarządzono ostre pogotowie i zabroniono wychylać się z koszar. Powstały nawet na tem tle różne domysły, jedne głupsze od drugich.

Więc kilku moich kolegów twierdziło, jakoby w lasach Wilanowskich pokazały się zbrojne watahy hultajstwa. (Tak właśnie powiedzieli: „Zbrojne watahy hultajstwa” — no, czyż nie sienkiewiczowskie czasy nastały...?)

Inni przechwalali się, że słyszeli od plutonowego Pyry, jakoby w Warszawie wybuchły jakieś rozruchy, które my, szwoleżerowie, będziemy poskramiiali... szarżą.

— Ładna perspektywa!

Inni wreszcie opowiadali o czekającym nas — dziś jeszcze wymarszu na front. Ostatnia wiadomość wywołała krótkotrwały i powszechny entuzjazm. Ale zapał wypalił się, jak słoma: jasne było, że w obecnej kondycji, zupełnie niewyćwiczonych jeszcze ochotników nie pošlą.

I, gdyśmy tak rajcowali, jak przekupki, wpadł około 8-ej zrana zadyszany wachmistrz i zakomenderował:

— Pierwszy pluton — siodłać konie.

Pobiegliśmy kłusem do stajen i zrobiło się piekło. Temu się kantar zawieruszył, tamten go wogóle nigdy nie miał... Jeszcze się komuś puślisko urwało, komuś popręg trzasł, ktoś konia nie umiał osiodłać, bo się, jucha, zastał i tańczył two-stepa...

Lance nam kazano brać, a nie było przy strzemionach tulejek...

Trzech ludzi w plutonie wogóle jeszcze nie miało karabinów...

Dwu nie miało szabel...

A znalazł się nawet taki egzemplarz, który, jak się okazało, nie miał ani siodła, ani lancy, ani karabina — tylko pozwolenie rodziców na wstąpienie do wojska, wydane z uwagi na to, że srogi ten szwależor liczył sobie dopiero 16 lat...



— Sodoma-Gomora!

Przygalopował konno nasz dowódca szwadronowy, sympatyczny porucznik Kotłubaj, czerwony, jak burak, wściekły, jak rozjuszony lampart — i zaczął ryczeć na całe koszary, że nas każe na 24 godziny postawić pod siodło — w najlepszym zaś razie — zamknąć do paki, czy coś takiego...

Dopiero raport wachmistrza, złożony szeptem, bardzo konspiracyjnie, uratował sytuację. Porucznik zaklął bardzo szpetnie, powiedział:

— Małpi teatr i bałagan, jak matkę Kocham!

Ale ochłonał.

Wreszcie pluton dosiadł koni i wywalił się na plac przed koszarami.

Uszykowano nas z niejakim trudem w szereg rozwinięty (ogier prezesa rypińskiego oddziału Związku ziemian stawał dęba i rwał się do klaczy prokurenta) — i rozkazano sprezentować szable...

Co potem było, już nie pamiętam, bo się zrobił sądny dzień...

---

Znaleźliśmy się potem na Koszykach, przed kościołem, i długo czekaliśmy na karawan. Umarł jakiś pułkownik i mieliśmy go odprowadzać na Powązki, jako pluton honorowy.

Słońce prażyło nielitościwie. Kondukt szedł żółtym krokiem — a my, ściśnięci kołnierzami do oblędu, trawersowaliśmy ustawicznie po bokach niewesołego wozu, usiłując poskromić zdenerwowane konie... Obnażone szable cierpły w garści, szklenki mdlały z wysiłku...

Tak ciągnęliśmy wolniutko przez Warszawę, salutowani przez wojskowych, odprowadzani wzrokiem przez kobiety, zostawiając za sobą odkryte głowy i szmer:

— Ochotnicy!

Na placu Teatralnym koń mojego kolegi przestraszył się tramwaju i o mały włos nie stratował księdza, idącego za krzyżem...

Żałosna humorystyka!

W chwilach, gdy orkiestra pułku piechoty, idąca przed nami, zaczynała marsza, konie — zaczynały warjować.

I tak ciągnął się ten najstraszniejszy w moim życiu pogrzeb, kondukt iście infernalny, aż het, do czwartej bramy wielkiego cmentarza...

Taki był nasz debiut — pierwszy występ publiczny, w szeregu.

22 lipca.

Z góry, od Alei Ujazdowskich, od miasta, napływają na Agricolę coraz liczniejsze tłumy. Wojskowi, cywile, mężczyźni dorośli i młodzież szkolna. Eleganckie, strojne damy — i ubogo odziane kobiety z Woli, Mokotowa, Pragi...

Przechodzących oficerów kadrowych zapytują o to, o tamto, zasypują huraganowym ogniem pytań, na które, jako żywo, nie może być odpowiedzi.

— Kiedy szwadron wyrusza w pole?

— Czy niewiadomo czasem, dokąd pójdziemy?

— Czy to prawda, że kawalerja ochotnicza zostanie rzucona na Budiennego?

Ubóstwiane szarże bronią się, jak mogą. Rozkładają ręce, tłumaczą...

A w tłumach, oblegających od rana do wieczora

ra nasze koszary — sami swoi: matki, żony, siostry, narzeczone... Ojcowie, stryjowie, bracia...

Bielą się po wszystkich rogach wielkie plakaty. Znane, największe nazwiska pod temi plakatami. Słowa, aż sztywne z patosu, chociaż dyktowało je, serce! Nietylko Warszawa — cała Polska pokryła się śniegiem odezwo. Spadły, jak ongiś wici, wołające do społeczeństwa:

— Wstań! Ocknij się! Odezwij się!

Kunktator, gnuśny wódz, bożyszczko burżujów — umiera niesławnie.

Bezpieczni jeszcze wczoraj, syci, spokojni, obojętni na wszystko — drżą z szalonej niecierpliwości właściciele składów i sklepów, posiadacze realności, pocący się z przerażenia na myśl o ostatecznej klęsce...

Obywatelski strach, który ma wielkie oczy, mnoży porażki: widziano kozaków Budiennego w ogrodzie Saskim.

---

Zastanowili się przecież aniołkowie mili nad istotnem znaczeniem słowa: Niepodległość...

Po raz pierwszy.

Przedtem zdawało się niejednemu, że ta niepodległość została zakupiona na własność P. T. Na-

cji — i że opisano sprawę u rejenta tak dokumentnie, że nikt w tem nic nigdy nie zmieni...

— Skoro jest akt?

Mało zastanawiano się jednak nad tem, na czyjej hipotece ostatecznie zagwarantowano ową niepodległość...

Byli i tacy wygodni mistycy, którzy sądzili, że prawo do posiadania wolnej ojczyzny dały nam stygmaty sybirskich męczenników: raz na zawsze!

Obudził się teraz w masach głos sumienia. Wszakże historia, to nie bank! Przelana krew — to nie pieniądz, oddany na procenty! Zasługi przodków — to nie czeki!

— Osobliwe czasy...

23 lipca.

Minął jeszcze jeden dzień...

Wiadomości z frontu coraz żałośniejsze, coraz haniebniejsze, coraz gorsze. Kruszy się linja naszego oporu, kurczy, cofa...

Niezdługo może usłyszymy huk dział, szturmujących do wrót stolicy...

— Kiedyż nareszcie pójdziemy się bić? Kiedy? Jeżeli zatrzymują nas poto, żeby zrobić lepsze wojsko — to zatrzymują daremnie! I tak w tych warunkach nic nie będzie z wyszkolenia! Ziemia pali się pod nogami! Nocami wstają jakieś strachy i chodzą po Warszawie...

— Czas! Wielki czas!

28 lipca.

Przyszedł nareszcie ten dzień, długo oczekiwany!

— Ileż razy jeszcze powtórzyć mi wypadnie: —  
Improwizacja!

Gdyby losami naszymi kierował w tej chwili nie sztab wojskowy, tylko reżyser kinematograficzny — nie wypadłoby, dalibóg, kolorowiej...

Leżeliśmy pokotem na zakurzonej, wydeptanej trawie, w skąpym cieniu suchotniczych drzew, które rosną w pobliżu naszych koszar; było duszno; południe skróciło cienie; trawiliśmy potworną zupę, spitaszoną tego dnia na czemś zupełnie niesłychanem...

I raptem, rzekłbyś, tknięci mocnym elektrycznym tokiem, poderwaliśmy się z miejsc...

Od gmachu, mieszczącego kancelarię pułkową, naprzelaj, przez wielki, stratowany plac ćwiczeń, biegli w naszą stronę podoficerowie...

Zupełnie zapomnieli o zwykłej powadze. Pyra rwał, co nóg, dwa kroki za nim Siedlecki, wichrasty olbrzym, zdyszany, jak gdyby go śmierć goniła. Jeszcze dalej — wachmistrz, aż szkarłatny z alteracji...

— Pierwszy pluton — zbiórkaaa!

— Drugi pluton — zbiórkaaa!

— Trzeci!

— Czwarty!

Zakotłowało się w koszarach, zawrzało jak w ulu. Porzucając zatłuszczone menażki, biegał każdy, jak warjat, popychając kolegów, popychany przez nich, podniecony do ostatecznych granic.

— Panie kapralu?

— Co jest?

— ?

— Idziemy na front!

W odpowiedzi huknęło ogłuszające:

— Hurra!!!

— Sekcyjni!

Mniejsze i większe grzmoty. Baryton porucznika. Bas rotmistrza.



— Dowódcy plutonów — do mnie!

Bieganina. Urywane rozkazy. Jakieś strzępy raportów. Jakieś — „Melduję posłusznie...” — jakieś: — „Rrrrozkaz!”

Szczęk, brzęk. Rżenie koni w stajniach. Tupoty nóg. Gorączka. Wiwaty. Przekleństwa. Hukania. Wywoływanie nazwisk. Dygot niecierpliwości...

— Hurra! Hurra! Hurra!

---

A słońce, lejące z lazurowego nieba strugi żaru, zatrzymało się pozornie nieruchomo nad kadrą 1-go pułku szwoleżerów...

Warszawa tego dnia poprostu omdlewała z gorąca. Zakurzone liście zwisały martwo z kasztanów. Ani jeden powiew wiatru nie poruszył gałęzi drzew. Nawet bliska Wisła nie dawała ochłody.

---

Kto wyśpiewa homeryckie iście boje, staczane przez nas w stajniach o siodła, o koce, o podpinkie, czy wędzidła? Kto opowie potomnym dzieje tego wymarszu z nieprawdziwego zdarzenia, dzieje tych szturmów do zbrojowni, galopad do cekhauzów, pakowania rzeczy trzęsącemi się z emocji rękoma?

Nawiał zkądś wiatr rodziny szwoleżerów...

Zawiadomieni tajemniczym telefonem, czy w in-

ny sposób zaalarmowani, zaczęli się zbiegać wyciągniętym kłusem ojcowie i bracia ochotników, zaczęły zajeżdżać dorożkami matki i siostry — tychże ochotników...

Jacyś starzy ludzie biegali, zdyszani, od koszar pierwszego szwadronu — do kancelarji pułku; jacyś sędziwi panowie dygowali bagaże, ewakuowali termosy i pledy, konserwy i wiktuały, najoczywiściej niepotrzebne, spadające z etatu:

— Kto to będzie brał na front? W koburach szeregowca niema miejsca na kompoty z kalifornijskich brzoskwiń!

---

A o piątej po południu byliśmy już gotowi do wymarszu.

Szwadron pierwszy, który miał się ładować do pociągu jeszcze tego samego wieczora, a w tym szwadronie pluton pierwszy, pierwsza sekcja (której ozdobą była, oczywiście, literatura polska!) — wyciągnął się równą linią...

Nadludzkim wysiłkiem woli i ambicji opanowano wszystko, co leciało, opadało, lub poprostu, waliło się z rąk...

Więc sterczał za plecami ochotników równiutki rząd karabinów; nastroszone lancami szeregi pre-

zentowały się prawie równie groźnie, jak ongi husarna... I konie nasze ochotnicze, niecierpliwe, niesforne, niewyjeżdżone — doprawdy, jeden od sasa, drugi od lasa — folbluty, podjezdki, wschodnio-pruskie, twarde remonty — i zupełnie chamskie skóry — tyle, że trochę podfasowane, tyle, że trochę zebrane — nabrały naraz powagi i tężyzny starych, doświadczonych szkap frontowych...

Upał zelżał, ale jeszcze dopiekało.

Nad majdanem, zajęтым w tej chwili przez nasz oddział, obrzeżonym czarną kłamrą głów cywilów, stał tuman kurzu...

I z tumanu tego wydefilował w pewnej chwili sztandar naszego 1-go pułku z eskortą: komunik cały srebrny.

Ruszył stępa na środek placu — i zatrzymał się nawprost szwadronu.

Zaczem orkiestra, stojąca opodal, uderzyła w trąby i litaury.

Zakołysał się sztandar i powiał amarantem...

Dźwięków „Jeszcze Polska nie zginęła“ słuchały, prezentując broń, szeregi — słuchali, odkrywszy głowy, cywile — słuchała Warszawa...

Potem, gdy przemiął skurcz, trzymający przez chwilę nasze krtanie — gdy pobłogosławiono nas krzyżem świętym i ognistymi słowami — które już doprawdy, były zbędne, bo cały szwadron gorzał wewnątrznie, jak jedna wielka pochodnia — padły krótkie komendy...

Wnet z tętentem i dzwonieniem, z parsaniem i prychnaniem końskim, poczytywanem, cczywiście, za dobrą wróżbę, bo wszyscy czytali kiedyś „Ogniem i mieczem” — zaczęliśmy wyjeżdżać z placu trójkami, mając w sobie wicher i pioruny... Chocim i Beresteczko, Kirholm i Somosierra... Kotłowało się we łbach byłych prokurentów, medyków, palestrantów, dziedziców i fernali...

Wzbił się w powietrze jeszcze gęstszy obłok kurzu i przesłonił wszystko: konie, szwoleżerów, koszary, Agricole...

Z turkotem wyruszył za nami tren — i dwukółki kuchenne, mające odtąd zastąpić nam Bristol, czy Europę...

Niebawem zadrżał bruk od uderzeń setek podków, pył opadł; wyłoniły się, jakoby znienacka, trójki szwadronu — i zagrały w słońcu ostrza naszych lanc...

I szliśmy tak w górę, stromo, mimo pomnika

Iana III-go, mimo Łazienek, docna osłupiałych, mimo dwurzędów ludzkich, stłoczonych aż het, po aleje Ujazdowskie...

A w alejach — rozpętał się patryjotyzm tak namiętny i wulkaniczny, że aż podziw brał, jak taki bitny naród może wogóle kiedykolwiek brać w skórę...? (Refleksja ta przyszła znacznie później, bo w owej chwili szumiała mi w sercu „Eroica“ i polonez A-Dur...)

Białe proporczyki z wązkim, amarantowym paskiem załopotwały wesoło...

Głośniej, niż owe proporce — załopotwały białe, pieszczone dłonie, oklaski, zgół spontaniczne — i setne palpacje serc niewieścich, od stworzenia świata mdlejących na widok konnych rycerzy...

Wołano:

— Niech żyją szwoleżerowie!

Wołano:

— Cześć ochotnikom!

A także:

— Szczęść Boże!...

Ostatni okrzyk, podobny do tego, którym się pozdrawia zniwiarzy — najwięcej ponoć wypowiedał uczuć... Nie, żeby porywała znienacka jego religijna

treść: żołnierz jest zawsze pobożny, chociażby bluźnił...

Nie.

W okrzyku tym, między nami mówiąc, drżało nabożeństwo, oparte na ostatnich komunikatach wojennych... Skoro front bojowy łamał się w tej chwili koło pięknej i malowniczej miejscowości, zwanej Małkinią — nie od rzeczy było, en passant, Pana Boga wspomnieć...

My zaś — mało sobie jeszcze wyobrażając, jak ona kośba wojenna naprawdę wygląda — i na czym nasze prace będą polegały — jechaliśmy dobrej myśli, wierząc, że skoro nikt przy dosiadanu konia nogi nie złamał, to może i z bolszewikami sobie damy radę, odgrywając zaczynający się „Czerwony Teatr” bez jednej próby, niejako atawistycznym instynktem...

I tak się podobno stało.

Oczywista, niemasz w tem wielkiej zasługi I-go ochotniczego szwadronu I-go pułku szwoleżerów, awansowanego później na pułk 201-y, bojowy, jak się patrzy!

Nikt sobie rodziców przecież nie wybiera...

Musiał się zdyskontować jakoś dorobek tyłowiekowy: pradiadkowie i prapradziadkowie dobrze

jeździli konno i rąbali szablami, jak w natchnieniu, więc i my, poślad celnego ziarna — — — — —

Mniej wzruszające były heroiczne słowa zachęty, rzucane nam przez wiecującą przy mazagraniu „Żelazną brygadę Lours'a”...

Trudno było z siodła w tym patetycznym tłoku rozeznaczyć sromotne paskarskie gęby, ale zawsze jedną drugą walutową łysiną, jednego i drugiego znamienitszego gryndera, drącego się, ile sił starczy: „Niech żyje Polska!” — oko dostrzegło a serce zapamiętało...

Na pochwałę wspomnianych citoyenów rzecz należy, że okrzyki swe wznosili zgoła nieobłudnie, wiedząc, że jeżeli jakieś większe pranie nie nastąpi — to jazda kozacka przewraca ich stoliki z kawą czarną i lodami w najbliższym czasie — za miesiąc, albo może i za tydzień — (przez co zarysują się podstawy polskiej i wogóle, europejskiej, kultury).

Z bólem podnieść trzeba, że nie wszyscy ochotnicy znaleźli się w owym historycznym momencie na wysokości zadania.

Jadący w mojej trójce student, odwrócił się od patriotów z niemaskowaną nonszalancją, inny jeszcze

mniej opanowany smarkacz, nic a nic nie wzruszony wiwatami, złożył dłonie w trąbkę i huknął pod adresem panów od Lours'a:

— „Łaziki na front!”

Przypuszczam, że tego nie dosłyszeli... Wołę przypuszczać! Byłoby to niewymownie przykre, gdyby ludzie, którzy nam okazali tyle serca — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ścisnął nas niebawem Zjazd — niejako ramionami. Tłum tu stał najgęstszy.

Stare Miasto nie żartem strzeże Fary i warszawskiego Zamku...

Entuzjazm inny, niż tam, na Krakowskim Przedmieściu: żywiłowy, szczery...

Sypały się na odchodzący szwadron skromne kwiaty polne: ludność tu mieszka niebogata, chociaż rogata!

Leciały w górę czapki — maciejówki, kapelusze... Podawano nam słodycze...

Wciskano się w szeregi z paczkami, paczuszkami... Przekupki staromiejskie opróżniały w okamgnieniu swe stragany... Każdy miał niebawem w przepastnej kieszeni frencza tabliczkę czekolady, albo chałkę słodką, albo butelkę lemonjady, czy paczkę papierosów...



Błękitem i stałą zabłysła przed nami rzeka. Weszliśmy na most Kierbedzia. Z czoła szwadronu zabrzmiała piosenka. Pochwycił ją pierwszy, drugi, trzeci szereg — i zakolysał się stary most, zaszumiały fale wiślane, wtórując zwrotkom znanym:

— Hej, hej, ułani,  
malowane dzieci...

Tak oto opuszczaliśmy Warszawę w wieczór piękny, pogodny, w złoty wieczór lipcowy...

1 sierpnia.

Wszystko to podobne jest do snu..

I to, żeśmy jeszcze przed paru dniami fasowali kakao holenderskie, roznoszone na Brzeskim dworcu przez zacne panie z Imci; i to, żeśmy po tem biwakowali przez sześć godzin przed naładowaniami wagonami, nie wiedząc, kiedy pociąg ruszy — i czy wogóle kiedykolwiek ruszy? — aż „wziął i poszedł” — a myśmy wskakiwali do wagonów, zostawiając na torach zaskoczone tym raptownym odjazdem rodziny...

I to jest dziwne, żeśmy się tej nocy nie pozabijali, bo maszynista był pijany, jak Bela, a szarże też zionęły spirytusem, jak gorzelnie...

I że nas własne szkapy nie pomordowały w wagonach, — to także dziw nad dziwy, albowiem konia w wagonie trzeba umieć wiązać, zwłaszcza ta-

kiego, który dotąd tylko w tabunie się gził, albo po folwarku biegał —

I to wreszcie dziwne, żeśmy z głodu odrazu pierwszego dnia nie oszaleli, bo nam wprawdzie w pięknym Zieleńcu przy stacji zupełę wydano, ale ją zaraz potem kazano w piach wylać — i dosiadać koni — i rwać w stronę, z kąd dochodziły cichsze, lub głośniejsze detonacje...

Odwrót armji napoleońskiej w 1812 roku odbywał się podobno w niejakiem nieładzie i z niejakiem pośpiechem. Siła tam zginęło dobra wszelakiego, francuskiego — i nagrabionego...

Myśmy nagrabionych rzeczy gubić nie mogli, bo to był przecież dopiero pierwszy dzień pobytu na froncie, i każdy był kiep...

Gubiliśmy tedy wyłącznie własne skarby — lecąc pod ów zapowietrzony Brok — gubiliśmy z taką maestrją, że cwane taboryty, za nami jadące, majątki porobiły w trakcie paru godzin...

Miały tam szable leżeć, bez pochew i pochwy — bez szabel; manierki puste i pełne: futerały do map sztabowych, bardzo ozdobne i przeważnie szeregowym niepotrzebne, tembardziej niepotrzebne, że mapowych odcinków w Warszawie nie było, więc się za-

bierało „na wszelki wypadek” szczegółowe karty z wyobrażeniem okolic Gniezna, Bydgoszczy i... Za-leszczyk.

Znajdowano nawet autentyczne Zeissy...

Wszystko to siano nie w odwrocie — bynajmniej — ale właśnie w natarciu, ściślej, w piekielnej gonitwie ku brzegom Bugu, obleganym wówczas przez naszych sympatycznych adwersarzy...

Cwałem i rysią — rysią i cwałem, zziądani, okryci rzęsistym potem, zakurzeni, jak kundle, za bryką biegnące — pędziliśmy nad Bug.

Aż przyjęła nas w pewnej chwili w swe objęcia miłosierna, cienista dąbrowa, rosnąca po obu stronach wysokiej szosy...

I wtedy nareszcie zaczęliśmy się mozolnie gramolić z siodeł, projektując sobie przemiły piknik.

— Bzzzyt...

Kilku podniosło głowy.

— Bzzzyt... Bzzzzyt...

Zagapił się cały szwadron, bardzo zdumiony.

— Buch!

Pocisk wyrznął w miękką łąkę, o kilkadziesiąt kroków od nas, wyrzucając do góry fontannę błota...

— Co to? — zapytał ktoś niezbyt inteligentnie.

Tak zaczęliśmy wojnę.

2 sierpnia.

— Wyobraźnia!

Wielka to rzecz, wyobraźnia. Krasi szare, codzienne życie i zawiesza na pospolitości zdarzeń dekoracje z bajki...

Miałem zawsze wyobraźnię silnie rozwiniętą. Zdarzało mi się dawniej zapamiętywać do tego stopnia, że zacierały się zupełnie w mej świadomości kontury rzeczywistości...

Zdawało mi się wówczas, że jestem, na przykład, kapitanem korsarskiego statku i płynę po wzburzonym morzu... Albo, że wylądowałem, zupełnie bez pieniędzy, w jakimś egzotycznym porcie, gdzie nikt nie słyszał mojego języka — że niemam co jeść — i zarabiam na życie, przygrywając w kinie, gdzieś, w krainie cow - boy'ów, tanga, długich Colt'ów i ja-

dowitych węzów... Albo, że znalazłem się w podziemnych pałacach jakiejś Atlantydy — i ratuję przed niesławną śmiercią rozemdlonego erotycznie pana Benoit... Albo, że zostałem cesarzem Druzów i wyznaczyłem 100 nagród literackich, każda po 1,000,000 franków...

— — — — —  
Nie śniło mi się jednak dawniej nigdy nic podobnego!

Już raz powiedziałem: zupełnie sienkiewiczowskie momenty...

— — — — —  
Ledwo stanęliśmy nad Bugiem — pełni patryjotycznej determinacji, która aż kipiała nam w żyłach i szumiała w głowach — rozbito, rozproszkowano nas rozkazami na dziesiątki grup i gruppek. Jednych na patrole wysłano, innych odkomenderowano na łączników do pobliskiego Sadowna, jeszcze innych — rzucono rzadką konną tyraljerę nad rzeką, skąd w każdej chwili należało się (podobno) spodziewać natarcia.

Mnie — (jakiż to był wzniosły moment!) rozkazano niezwłocznie samotrzeć udać się przez łąki i zagaje, leżące po prawej stronie gościńca —

i stwierdzić dokumentnie, czy się tam już gdzie ko-  
zacy nie kryją — i jeżeli się kryją — to w jakiej  
mniejwięcej sile?

Widzi Bóg, że każdy z nas wówczas mniemał,  
iż dostał szczególnie ważne poruczenie: każdy też  
miał rację tak sądzić, i o to właśnie na wojnie po-  
dobno chodzi, żeby tak myśleć...

Pamiętam, jak spałem konia i rzuciłem się gor-  
liwie wcał, przypominając sobie wszystko naraz,  
Wołodyjowskiego i Pełkę, sławnych zagończyków;  
rudego Wierszuła, który Sicz i tatarów tak świetnie  
podjeżdżał... Niektóre obrazy Rozena, te zwłaszcza,  
na których były wyobrażone podjazdy i podsłuchy,  
sztafety konne, rwące na wykopyconych rumakach  
— i temu podobne rzeczy.

Jako człowiek o krótkim wzroku, niebardzo do-  
wierałem swoim oczom. O eksperjencji wojennej  
siłaby gadać... Liczyłem więcej na moich towarzy-  
szy, ludzi podobno bywałych...

Ale pomimo wszystko, niebardzo wiedziałem,  
co z owymi legendarnymi kozakami poczynać, jeżeli  
ich spotkam? Rąbać huncfotów? Strzelać do nich?  
Szarżować? Umykać.

Właśnie ,gdym się nad tem wszystkiem głowił,  
galopując miękko po elastycznej darni łądowej —

coć nagle zaterkotało. W pobliżu. Z drugiego, niedalekiego brzegu, oddalonego od nas o jakieś 1000 kroków...

Poczęły się rozlegać jadowite brzykania i syki tuż nad naszymi głowami.

— Z maszynek wałą, piekrawie! — skonstatował jeden z moich towarzyszy, były legun.

— Strzelają? Do kogo?

— Do nas!

Nie wiem, jak to się stało, że konie nasze przeszły — w cwał. Klacz moja, bardzo wysokiej krwi, wzięła tempo nadzwyczajne i szła, jak wichur. Dało się assuptyt zdyszczanemu towarzyszowi broni do następującej uwagi:

— Zaczne bydłę! Na niej dopiero będzie można wiać jakby co do czego...

(„Co do czego“ już nastąpiło! sadziliśmy po łące dopóty, dopóki nie zakryły nas przed ogniem bolszewickich maszynek — wysokie drzewa...)

Efekt gonitwy pod obstrzałem nieprzyjaciela był nadzwyczajny. Wojna — rozpoczęta ucieczką, (Za pozwoleniem! Podjazd nie powinien się dać zabić!) wciągnęła nas tem samem do akcji.

Świadczyły o tem nasze rozszerzone płuca, no i boki końskie, zupełnie zmydlone...



Inni szwoleżerowie dokonywali w tym czasie podobnych przewag orężnych. Kozaków wprowadzono na lewym brzegu nikt nie wypatrolował, gdyż po pierwsze, jeszcze się bolszewicy nie przeprawili na naszą stronę, a, następnie, jak się okazało, wogóle kawalerji na tym odcinku nie posiadali... Ale tłuczono koniska biedne przez cały, długi, niezwykle upalny dzień, ganiając tam i z powrotem, debuszując z gęstwiny nad Bugiem rosnących, dzwoniąc podkowiemi po szosie i człapiąc po miękkich nadbużańskich łąkach...

A gdy schyliła się nad biwakiem szwadronu cicha, gwiazdzista, ciepła noc — zapadła kędyś, w niepamięć, w absolutną przepaść — nietylko Warszawa, w której jeszcze wczoraj opędzaliśmy się czułościom gapiów i własnym wzruszeniom — nietylko Polska, plakatami zasłana — ale wogóle Europa, świat cały!

Światem naszym stał się ten właśnie odcinek frontu, nad bystrą rzeką zakreślony — ta olszyna cudowna, rozbrzmiewająca parsaniem koni — i kuchnia polowa i tych stukilkudziesięciu żołnierzy-towarzyszy, wielce rogaty i czupurnych, w rzeczy samej — smarkate wojsko, potrzebujące dopiero wyprawy...

Najbliższe dni miały już przynieść tę wyprawę, tęgie skór garbowanie, pierwszy dotkliwy — i konieczny chrzest krwi...

Ale tymczasem, w groźnej dąbrowie polskich centaurów, straszło wszystkim: folwarkiem, bankiem, uniwersytetem, palestrą, literaturą — nawet ławą szkolną — tylko nie armją.

-- O, czasy, cudowne czasy, w których wzór patriotyzmu, ujęty matematycznie, dawał elementarne  $2 \times 2 = 4!$

. O, czasy naiwne i romantyczne, w których wolno było kochać ojczyznę miłością szesnastoletniej dziewczyny!

O, wojno niezwykła i cudaczna, zapisana petitem na marginesie Europy, w serca polskie werznięta drukiem Cicero!..

Pojednały się na krótką chwilę wszystkie stronnictwa. Endecja jadła z jednej miski z Wyzwoleniem! — P. P. S. popisywało się tęgim spustem narówni z przyszłymi stronnikami Sykstusa Parmeńskiego! — Piast z mieszcuchem śniadał, nie swarząc się o ceny kaszy!

O, uciecho niewinna, patosie wściekłego głodu,

łączący w jedno potomków senatorów i prostych for-  
nali!..

Jakże nam żal było tych wszystkich, którzy po-  
zostali wówczas u Lours'a i popijali piołuny komu-  
nikatów, macając się roztrzęsionymi rękami po za-  
grożonych portfelach!

Jakże nam żal było tchórzy, uchylających się od  
kul i narażonych na gazy trujące!..

Ziemia kończyła się wtedy u dwu biegunów  
skrajnych. Pierwszym biegunem był Wyszków, a  
drugim Małkinia. — Ot!

Ktoby powiedział wtenczas, że leżące pośrodku  
Sadowne nie jest pępkiem całego Orbis Terrarum,  
a Brok, naprzeciwko drzemiący — ich Brok, inwazją  
objęty — jedyną Moskwy fortecą — wreszcie olszyna  
nadrzeczna, przez stuśdzieściu ludzi zajęta —  
jedyną Polski zasłoną — tegoby na szablach roznie-  
śli!

Sami ochotnicy — konie ochotników — cicha, me-  
lodyjna rzeka — i łąki, łąki bez końca. Na skraju  
olszynki szereg lanc, wbitych w ziemię. Miejsce na-  
szego postoj. Z lanc pozdejmowano proporczyki, bo

były zbyt widoczne. Ochotnicy pozdejmowali z siebie, wszystko co mogli, bo upał praży niemiłosiernie. Cięża. Konie żują siano, my leżymy jak młodzi bogowie. Rozkoszujemy się odpoczynkiem! Myśli szumią w głowach, jak młody las. Rozmyślamy o tem wszystkim, co pozostało za nami. O rodzinach, sprawach i majątkach, o pracach wykonanych lub nie wykonanych... Ale tym razem wszystko jest miłe, łatwe, lekkie, dobre. Każdy z nas wierzy nieodwołalnie, że wojnę wygra sam jeden, bez większego wysiłku, że się tak jakoś zrobi — prawie niewiedzieć kiedy — siądzie na konia — i pojedzie, pojedzie...

Bolszewicy wydają się nam czemś egzotycznym, dalekiem, nieistniejącem... Dotąd nie widzieliśmy ich jeszcze zbliżka, rozmawiały tylko z sobą — ich i nasze kule. Nie czujemy do nich w tej chwili żadnej animozji. Jest prawie tak, jakgdyby cała wojna, cała Polska odpoczywała na tym odcinku, pośród traw, kołysanych cichem wiatrem, pośród łąk...

— — — — — — — — — —

Gdzieś — zdala — z bardzo daleka — dolatuje do nas cichutki szmer. Rzekłbyś — deszcz powietrza, rzekłbyś — wibracja jednej, jedynej struny, którą ktoś potrącił lekko... przez zapomnienie... szmer z nieba...

Struna drga w dalszym ciągu i nie cichnie, przeciwnie, wibruje coraz to głośniej. Szmer przechodzi w szum, szum przechodzi w metaliczny brzęk. To śmigło aeroplanu rozmawia samo ze sobą, hen, wysoko. Nic nie jest w stanie oddać tej samotnej, skupionej rozmowy, którą prowadzi na wyżynach pracujący motor...

Ten i ów podniósł głowę. Podchorąży nasz wsparli się na łokciu, nawpół leżąc, zasłania oczy ręką i patrzą w niebo. Ruch w olszynie. Zobaczyliśmy aeroplan. Sunie, jak strzała, prosto na nas. — Nisko.

Wypatrujemy znaków na skrzydłach. Nasz? Moskiewski?

— Karo.

Nasz. Polskie barwy w szachownicy. Biała i czerwona.

I nagle — jakby szpicrutą uderzył po kępie bliższych olch. A, psu brat! Bolszewik!

Kilku chwytą za karabiny. Ale wstrzymuje ich gromki okrzyk:

— Nie strzelać!

W okamgnieniu znikły nasze lance. Konie cofnięto w gąszcz. Jeszcze raz przejechał po olszynie karabin maszynowy — i jeszcze raz. — Cisza. Zatoczył koło. Poleciał.

To był pierwszy aeroplan nieprzyjacielski, jakiego widzieli.

Podróżował wzdłuż frontu, za sfałszowanym paszportem. — Niewolno? Tak się nie wojuje?

Ależ to bolszewik...

---

I znów wszystko, jak we śnie. Leżymy w naszej olszynie, zaczajeni rozkosznie wśród gęstych zarośli. Dzień letni, jak spokojny wędrowiec, powoli idzie na Zachód. Czarna - lazurowe niebo nabiera koloru kameryzowanego klejnotu. Jakieś różowe, zabłąkane chmurki wyglądające ślicznie i zabawnie — pokazują się i znikają. Wieczerzeje. Idziemy po siano dla koni. Niesiemy to siano w olbrzymich pachnących naręczach, trwoniąc je po drodze. Ścieżka do stogów — i od stogów — usłana jest grubo, jak perski dywan. Noga tonie w sianie. Przy kopicach przejacielskie przekomarzanie się, spór o to, kto wziął zawiele a kto zamało; szwajcarska walka na pasy; wybuchy śmiechu...

Przekonywam się po raz któryś z rzędu, że jest rzeczą dość obojętną, kto kiedy jaki stworzył system — jest natomiast rzeczą pierwszorzędnej wagi: mocno i zręcznie ukręcić powrósło z siana. Uczy mnie tej prostej sztuki kolega mój, ochotnik, młody fernal

z płockiego. Służy w drugim plutonie. Miesiąc temu wierzył jeszcze, że Polska jest folwarkiem burżujów i że mu bez Polski będzie lepiej. Nie wiem, co teraz myśli o Polsce, ale to wiem, że bolszewików chciałby prać z całego serca i że przekonał się, iż burżuje piją na kolację nietylko krew i pot proletariatu — ale i nieosłodzoną kawę zbożową, jako i on. Zresztą, mówi się o burżujach, którzy są w wojsku. Nasze pole widzenia sięga w tej chwili tak daleko, jak daleko sięga linja naszych pikiet, strzegących tej polskiej rzeki...

10 sierpnia.

Schudły konie pierwszego szwadronu, szczerznie-  
li ochotnicy. Spłowiąły wspaniałe mundury szwole-  
żerskie, dzieła nawskroś indywidualne, szyte przez  
natchnionych krawców...

Z liczby 160 Poniatowskich i Niegolewskich, któ-  
rzy hałasowali tak rezolutnie na dworcu Brzeskim —  
kilku już nie stało.

Zaznaliśmy haniebnych terminów odwrotu.

Runęła nasza reduta nad Bugiem.

Opuściliśmy sławne Sadowne, urodziwą Małki-  
nię i wszystkie dziury bezimienne, po gajach i la-  
sach rozsiane.

— Nie myśmy się cofnęli. Nas cofnięto!

Cofnięto nas, chociaż biliśmy się, jak lwy, jak  
bogowie! Przynajmniej tak się nam zdawało...



12 sierpnia.

W Jabłonce — właśnie w Jabłonce — stoi nasz szwadron. Warszawa tuż. Dymy stolicy, oddalonej o kilkanaście zaledwie kilometrów, łaskocą nam nozdrza. Tłok. Nieznośny tłok! Gościniec zavalony trenami, artylerją, powózkami i ambulansami. Niema gdzie koniem obrócić. Chwilami zdaje się człowiekowi, że cała siła polska, doniedawna tak wspaniała — została wymanewrowana na ten właśnie szmat ocalonej ziemi: Jabłonna — Warszawa...

Staje się teraz aktualną kwestją... ewakuacja Warszawy.

— Tak jest! Ewakuacja Warszawy!

Brać szwoleżerska przymilkła. Jakieś wielkie osłupienie zastygło w oczach ochotników. Właściwie, nikt nic nie rozumie...

— Więc jakto? Poszliśmy na „niezdobytą” linję  
Bugu — i oddaliśmy Bug?

— Jakto? Cofnęliśmy się na „niezdobytą” linję  
Liwca — i oddaliśmy Liwiec?

— Czy i Wisłę oddamy?

---

13 sierpnia.

Dochodzą nas coraz fantastyczniejsze, coraz dziksze pogłoski... Czwarta armja bolszewicka dostała się podobno na flankę naszych wojsk i pustoszy w tej chwili ziemię płocką. O jakimś korpusie Gaja mówią szeptem... O zagrożonej komunikacji z Gdańskiem...

14 sierpnia.

Mamy za sobą dosyć krwawe boje. Ruszono nas z Jabłonny, gdzie się stało w sadzie, pełnym zapachu siana, gnoju końskiego i dojrzewających jabłek...

Ubyło kilkunastu kolegów. Szwadron topnieje. A jednocześnie dowiadujemy się o szerokich—och, jakże szerokich — projektach bolszewików.

Nie ulega wątpliwości, że w razie wzięcia Warszawy zaczną funkcjonować sowiety, bardzo przezornie zamianowane z polaków i skwapliwych mniej-

szości. Zaczną oczywiście funkcjonować i rewkomy. Zapewne także i Czeka osławiona. Albo raczej: Ona przedewszystkiem!

Przybędą do Fukiera. Mowy o tem niema, żeby ocalał! Stuletnie tokaje — sama koncepcja stuletnich win — to jaskrawa kontrrewolucja! W Łazienkach będzie propagandowe kino. Miejsce cudownie się na to nadaje. W Białym Domku zamieszka jakiś mały Dzierżyński. Łabędzie wystrzelają. Ludzkie mięso będzie się oprawiać na stokach cytadeli i na placu wyścigowym.

Łunaczarskij przyjedzie we wrześniu do Warszawy i wygłosi w teatrze Wielkim popularny odczyt o walce z analfabetyzmem. Na galowe przedstawienie przyprowadzą artystów dramatycznych, kując ich po mordzie. Zapewne ten i ów z weteranów polskich scen umrze tego wieczora na anewryzm. Ale zawsze kupa ludzi zgłosi się do teatralnego sowietu. Majerhold przybędzie w końcu października dopiero i wyreżyseruje „Zemstę“ z pietyzmem, jakiego dotąd nie widziano. Szesnastolatki pensjonarskie będą miały w programach dwa razy na tydzień ekonomję polityczną, dwa razy na tydzień — historję Komuny — sześć razy na tydzień — walkę z chorobami wenerycznymi.

O ile, notabene, przedtem nie wypuszczą Warszawy w dżirżawę niemcom...

— — — — — — — — — — — — — —

Czternasty sierpnia! Zaledwie miesiąc temu wstąpiłem do wojska: — Jakie zmiany! Jakie olbrzymie zmiany...!

Czerwona kula słońca, coraz bardziej krwawa, stoi nad horyzontem. Dzień się kończy. Z oddali dochodzi głuchy jęk dział.

Słyszeć tętent. To patrole Najjaśniejszej Rzeczypospolitej galopują drogami, roznosząc oddziałom wieści o ginącej niepodległości nacji, która umiała znieść z honorem 125 lat niewoli — ale nie potrafiła znieść paru lat... wolności!

— I co dalej?

15 sierpnia.

— Więc z kim my naprawdę walczyliśmy, polscy żołnierze? Z najeźdźcą, ze śmiertelnym, odwiecznym wrogiem naszego kraju — czy też...?

Wczoraj jeszcze, przejeżdżając przez jakąś wieś, której nazwy już nie pamiętam, byliśmy odprowadzani łzami i błogosławieństwami; tłoczyli się ludzie między trójki naszego szwadronu... Prosił o coś, szlochając... Załamywali ręce...

Wieczorem, na krótkim postoju w jakimś dworze, przy księżycu, aż białym z egzaltacji i srebrnym, jak sen Grottgera — mówiono nam słowa niezapomniane...

Młoda, śliczna panienska grała preludjum Chopina...

Starzy, bardzo starzy jej dziadkowie żegnali nas z ganku roztrzęsionymi dłońmi i przypominali... mo-

lestowali... na wypadek... gdybyśmy któregoś z ich wnuków... bo wszyscy trzej.. a najmłodszy ma dopiero szesnaście lat. —

A dzisiaj, o trzeźwym, przeraźliwie trzeźwym dniu, wszedłszy do innego folwarku, gdzie przed paru godzinami był podobno oddział bolszewicki — pod bramą przejeżdżaliśmy, pod tryumfalną bramą, dla tychże bolszewików przez fernali onegdaj wystawioną...

Któryś krewki wachmistrz kazał sprawić tym ludziom lanie...

— Czy słusznie?

Rozwój wypadków powinien być logiczny... Jeżeli brama tryumfalna miała swoją logikę, to zauważyć należy, że wachmistrzowe mordobicie nie miało logiki. Zupełnie! Ale to zupełnie!

Dla zdrajców ojczyzny dobra jest kula w takich terminach. Siniak, to nie dosyć. Siniak, to stanowczo zamało...

— A może...?

Może należało całkiem zamknąć oczy i nie dostrzedz tej haniebnej bramy?

— — — — —  
Szczęście, że to pierwsza brama taka podła. Taka niesamowita. Taka żałosna!

— Wachmiśtrzu! Nie jesteś ochotnikiem i bijesz się od tylu lat o głódzie i chłodzie. Rozumiem cię. Ohydna to rzecz, kula, wystrzelona do uczciwego żołnierza z tyłu, z zasadzki...

Da Bóg, już więcej takich bram nie będzie...

Jestem zły. A dlaczego?

Dzisiaj do nas kuchnia wcale nie przyjechała i nie jedliśmy obiadu. Czekaliśmy na nią — trzy godziny — i nie przyjechała. Zupełnie, jak kobieta. Teraz jest już czwarta po południu, plutonowi pobiegli do kwatery porucznika, zapewne roześlą nas na cztery strony świata. Kiedy niższe szarże biegają do wyższych szarż, oznacza to niechybnie, że coś będzie. Może jakieś dalsze patrole, może nocny wypad. Wszystko to ślicznie, ale jestem głodny. Niewiedzieć dlaczego, deklamowałem sobie melancholijne wiersze i w dodatku Asnyka: O ptaszku, który niewie, gdzie się szczęście... pardon! O ptaszku, który się ludziom dziwuje i t. d. — Wiecie już, o którym to wierszu mowa. Mam wrażenie, że tego ptaszka kochanego Asnyka — i wogóle wszelkiego ptaka oskubanoby dziś u nas i zjedzono na poczekaniu. Tacy jesteśmy głodni. Wiersze deklamowałem sobie



oczywiście z głodu. Mój Boże! Wczoraj jeszcze zafasowaliśmy we wsi gęś — i jedliśmy tę gęś, trochę ugotowaną, trochę upieczoną, a trochę surową... Z jaką lubością mówiłbym dziś o jedzeniu. O homarach, o sardynkach, o polędwicy. Langust... Kiedy ja jadłem langusta? Takiego lubieżnego, różowego... Albo kawior? Z cytryną! No, niechby tam była już kiełbasa na szaro!

Chciałbym dziś mówić o jedzeniu. Ha! Przecież nic innego nie robię. Do kroćstutysięcy, gdybyście tak czekali na kuchnię, jak myśmy czekali...

Proszę darować, ale fizjologia, to nie mucha. Fizjologia, to jest bardzo poważna, nawet szanowna rzecz, o czym zapominać nie należy.

Można podnieść ducha w oddziale jednym dobrym dowcipem. Ale zagłodzonego żołnierza trzeba nieraz tygodniami odkarmiać, zanim będzie do rzeczy. Napoleon Wielki naczczo — to będzie tylko Napoleon naczczo. „Wielki” się gdzieś zgubi...

Nie dziwcie się tam zbyt w cywilu, jeżeli się dowiedzie, że jakieś wojsko biło się trochę gorzej. Może oni miesiąc maszerowali, a trzy dni nic nie jedli? To bywa... Noe niezawodnie dlatego tylko przetrwał potop, że miał ze sobą w arce cały folwark. Dużo zwierząt przeżywił — a ile zjadł?... Jak wiadomo,

niektóre gatunki zupełnie zaginęły. Np. Ichtjozaury.  
— Zjedlibyście ragout z Ichtjozaura? Jabym  
zjadł.

Bohater, bohaterowie, bohaterstwo...

Za frontem od tych wielkich słów aż szumi w uszach, w oczach ciemno, zmysły się mącą. Niejeden— i niejedna — chcieliby, żeby u piechoty codzien były w robocie bagnety, żeby w kawalerji co godzina była szarża i żeby artylerja każdym strzałem wysadzała bolszewikom w powietrze pancerkę.

Opowiem autentyczną historję. Był pewien ułan, dosyć na oko niemrawy, duży drałgal, mierzył coś metr dziewięćdziesiąt. Na koniu wyglądał niesamowicie, trochę jak złamany w pół statyw fotograficzny, trochę jak maszt do radjotelegrafji, trochę, jak Podbipięta. I gadał bestja powoli — i wolno się na siodło gramolił, jadł powoli, pił powoli, powoli myślał. Nie miał najlepszej opinji w szwadronie, bo się na wszystkie zbiórki stale spóźniał i do ognia szedł dość opieszale. Zdecydowaliśmy: Oferma. Otóż, zdarzyło się, że było nas pięciu na patrolu, w niedużym lasku. Ogarnęli naraz ten lasek kozunie — z dwu stron—było ich z pół kopy, a może więcej. Daliśmy ognia — i w nogi, oczywiście, bo ich było za dużo.

A kozunie zaczęli strzelać za nami, bzzzyt, bzzzyt— galopujemy, aż miło. Nasz ułan zdziera konia ni stąd ni zowąd — zawraca — i wali z powrotem, do lasku. Zgłupieliliśmy do tego stopnia, że się nawet żaden z pozostałych czterech słowem nie odezwał. Stanęliśmy za jakimiś drzewami. Tymczasem ułan dopadł do lasku, zlazł pod kulami z konia, podniósł coś z ziemi, wsiadł z powrotem na konia i przygalopował do nas. Okazało się, że zapomniał manjerkę. W manjerce był rum. Teraz, muszę powiedzieć, że ci kozacy byli bardzo blisko, że go mogli dopaść, a w każdym razie postrzelić. Jakby się z nim byli obeszli, gdyby go rannego dostali — łatwo przewidzieć. Kapusta. Więc ustalmy terminologję: Legienda, czy: rum?

16 sierpnia.

Gdy tak przyglądam się czasami moim kolegom, towarzyszom broni, zdumiewa mnie niesłychana żywotność naszej rasy.

Z jednej strony bogaty wiadomościami historycznymi, bogaty setką anegdot, opowiadających to samo, wiem, że nie masz chyba narodu — narodu, któryby był tak niespoisty, jak nasz.

Mądrych królów pomniejszano o głowę, jak wogóle, każdego, kto widział dalej własnego nosa... O potrzebach Najjaśniejszej nic nigdy wiedzieć nie chciano... W najnieodpowiedniejszych chwilach żarto się o kasztelanje, o buławy i laski...

Każdy w swoją stronę ciągnął. Umiłowanie swobód było większe, niż umiłowanie Swobody...

Zaczem wiechetkowi pyskacze, zawadjackie nieczytajły, rządzili się, jak szare gęsi, płodząc głup-

stwa, gdy już wszędzie naokoło świeciły zimne ognie Rozumu...

Żaden pomysł wielki — o, auro nieprzychylna! — do końca się nie wykonał. Ani Jagiełły pobożność, o mądrość oparta, od Witołdowej wichury silniejsza; ani roztropność Zygmunta Augusta; ani Batorego dzieła; ani — Żółkiewskiego proroczy wzrok — tej cmy nie rozświetlały... Skąrgów gasiła pyskowa muzyka szlachecka, nieznośna, warcholska.

Tak już do końca...

A oto, ilekroć nadejdą zgubne terminy, naprawdę śmiertelne, coś się w tym narodzie moim zmienia. Coś się łamie od fundamentów najgłębszych.

Pokłócone przedtem, obce sobie klasy — ogarnia wielki ogień. I niedość, że je ogień bierze, ale się całość naraz cudownie wiąże. Staje mur na świeżo lasowanym wapnie — i ani drgnie!

Kamień bylejak płatowany, cegła śpiesznie wypalona, drzewo jeno zgrubsza ociosane — mimo wszystko trzyma!

To jest Polska podobno... Jak się rzekło: kraj improwizacji.

— Kiedyż nareszcie dojrzeje Polska z obywateli złożona?

Stoi wielka, spokojna łuna na niebie. Noc cicha nie miota snąć dalekim pożarem. Równy się Polska pali...

Nie wiemy, gdzie — i co — ogień w tej chwili pożera.

Może wieś, może dwór starodawny, może krzywe miasteczko?

Szatany śmieją się kwawo...

Do wtóru sykom żywiołu — działa biją.

Miarowo.

Głucho.

Wojna rozpięła swój płaszcz.

Naprzód się długo czała, aż zrobiła skok! Jeden. Drugi. Trzeci... W soki drzew kule świsnęły: w samą ich miązgę. Po konarach, po gałęziach zaczęto siec gęsto... Potem ozwały się grzmoty rzadkie... I częstsze! Coraz częstsze! Potem się tętent ocknął. Nadlatujący...

A wreszcie, setnemi wybuchy, metalowym granatów jękiem, potępieńczym zgiełkiem — wwalila się Straszna w nasze ziemie, licho strzeżone...

Skoki i susy warjatów, drących się przez haszce, płasających z wyciem po drogach — zamaryły...

I wtedy powstał nagle Jaśniewielmożny Czerwo-

ny Cham. Marszałek tego pospolitego na Polskę ruszenia, reżyser zbliżenia narodów...

Nieśpieszno mu. Obalił strażnice. Teraz już nie drży ze strachu: przeciwnie, teraz nas straszy.

Idzie na Warszawę,

Daleka przed nim droga: o polską stolicę jeno nogi otrze, jak o ścierkę. Do Berlina dąży. I dalej jeszcze...

Studwudziestu nas już tylko zostało. Aż studwudziestu!

Myślę, że to dosyć.

17 sierpnia.

Nie wiemy, co się dzisiaj stało, ale wiemy, że się coś stało.

Bałamutne wieści przywieźli łącznicy. Nic szczególnego. Tamci poszli naprzód, ci się cofnęli. Jakąś kawalerję widziano. Czort wie, kogo. Ułanów, czy też szwoleżerów. I piechoty dużo. O artylerji także gadali. Wszystko bez związku.

Ale się coś stało!

W południe leżeliśmy w stodole, na brudnem, wygniecionem sianie. Wieszaly się nad nami pajęczyny — i biły przez szczeliny lichy skleconej szopy — wążkie włócznie słońca.

Przed stodołą strzechy połowa, po złodziejsku zdarta, przez konie stratowana, zielona od mchów, gnojem pokryta...



Wzdłuż płotu głodne szkapy.

Od brzegu pierwsza moja śliczna kasztanka, dalej, kary wałach mego najlepszego kolegi, potem równo obok siebie trzy gniade klacze trzech najmłodszych w plutonie ochotników, potem wałach z bielmem na lewym oku, wierzchowiec kaprala; następnie siarczasty ogier hrabiego, łęgowaty wałach dyrektora departamentu, siwek sygnalisty...

Koniec szeregu końskiego już w ulicy wiejskiej tuż obok studni gromadzkiej, docna wysuszonej.

Skwar.

Przypominaliśmy właśnie, jak to przed niespełna trzema tygodniami wychodziliśmy, w takie samo mniej więcej, upalne popołudnie, z kadry.

Ktoś rzucił zgryźliwie, że wtedy jeszcze było co jeść...

Ktoś inny zaklął haniebnie, życząc kucharzom, oczywiście zawieruszonym, żeby ich ciężka cholera.

Westchnienie poruszyło wszystkich. Bo rzeczywiście, z temi kuchniami. —

W tej samej chwili rozległ się na drodze tętent. Odrazu tuż, blisko. Rzekłbyś, wpadł ktoś galopa do wsi...

Ten i ów podniósł głowę.

— Może z Brygady?

Ale przytępiły nas już te tygodnie frontu. Z Brygady, to z Brygady. Czort ich brał...

Stanął we wrotach rozwartych kaprał Pyra, podrapał się za uchem, popatrzał na nas, splunął — i mruknął:

— Wstawać...

Wstawaliśmy, nieśpiesznie.

Kaprał odwrócił się, rzucając przez ramię:

— Pewnie pójdziem stąd.

Ktoś zapytał:

— Dokąd, niewiadomo?

Pyra odpowiedział nieodrazu. Skręcał właśnie papierosa. Zapalił, zaciągnął się, raz i drugi.

— Nogowac przyjdzie, zdaje się... Z patroli jeden wrócił, mówi, że—

Splunął.

A w dziesięć minut potem, marsz — marsz, wielkim kłusem, gotowi do roboty, wyjeżdżaliśmy z opłotków. Rotmistrz prowadził nas w szyku ubezpieczonym.

Każdy myślał, że za chwilę usłyszy trzask strzałów...

Że to miał być odwrót podobno — chmurne były twarze i oczy niewesołe.

Nikt nie wiedział, że tym razem oddziałek nasz — drobny pyłek w tej kurzawie wojennej — wciełał się w wielką chmurę, którą gniewny wicher obrócił prosto w twarz wroga... Zaczynaliśmy ofensywę.

18 sierpnia.

— Idziemy naprzód! Naprzód!

Co może się równać z tą rozkoszą? Nic na świecie! Czy może miłość kobiety? — Nie! Czy sława? Nie! — Potęga, złota? — Nie!

Miłość przychodzi w karmazynach i odchodzi w łachmanach... Sława zatruta jest znikomością w samym zaraniu... Złoto — tylko złoto podbija.

Rozkosz nasza jest zupełna i ogromna. Albowiem krok za krokiem, minuta po minucie — odzyskujemy wolność! Niemasz, zaprawdę, nic ponadto!

Wolność...

Otośmy przecież zrozumieli nareszcie, ile to waży, wolność odzyskiwać. Wpierw cofaliśmy się. Każdy uroczy gaj, przez który przechodził nasz szwadron, płakał: — Do widzenia... Każdy bór ciemny, mijany w marszu, szumiał: — Dowidzenia... Każda rzeka, brodem zdobywana, czy opuszczana po dudniącym moście, szemrała falą płynną: — Dowidzenia...

A one miasta polskie, nawskroś przerażone  
w swem ubóstwie i aż nieme z żalu...

A one wsie i dwory, odprowadzające suchemi  
oczami ginące w kurzawie szeregi... Polskie szeregi  
obrońców, odchodzące niesławnie...

— Idziemy naprzód, szwoleżerowie!

Lance nasze prostuje się dumnie i wiatr igra  
niemi, szeroki, wolny wiatr polskiej ziemi, pieszczą-  
cy proporczyki szwadronów!

Dzwonią podkowy na dębowych mostach i konie  
parskają!

Szable, poręcznie przystrojone do siodła, raz-po-  
raz dotykają rękojeściami naszych dłoni! Proszą!  
Tęsknią!

I krótkie kawaleryjskie karabinki, małe ogniste  
pioruny — lubym ciężarem swym niepokoją nasze  
barki!

— Idziemy naprzód!

Zapomnieliśmy w przeciągu jednej, jedynej go-  
dziny, o wszystkich utrapieniach, wstydach, bolach  
i minionych żalach... Późne lato powiało naraz wio-  
sna... W tętnie szeregów, w okrutnej kurzawie po-  
chodu, rytm się jakiś cudownie skanduje... Każdy  
nieomal kilometr zdobytej polskiej ziemi odbrzmie-  
wa w sercach, jak strofa poematu!

I piosenki, które były się gdzieś zapodziały, przyfrunęły z powrotem do szwadronu, jak rozigrane ptactwo...

Wszystkie!

Śpiewamy je od rana do wieczora — o ile tylko na to służba pozwala. Śpiewamy: „Hej, hej ułani!” i „Jak to na wojence ładnie” i o Rozmarynie i o Białych różach i o Pierwszej brygadzie... Śpiewamy stare walce Berger'a i Cremieux... Nowe foxy i shimmy... Śpiewamy wreszcie notoryczne bezceństwa, od których uszy więdną...

Szarże, na przedzie szwadronu jadące, powesełały do niepoznania. Rotmistrz nasz goreje radością, jak szczęśliwy narzeczony. Porucznicy, dowódcy plutonów, cieszą się, jak żaki. Ogarnia nas chwilami pustota tak szalona, że się wprost zatracą świadomość tego, co robimy — i dokąd dążymy...

Gdyby nam ktoś przypomniał, że te długie lance — i ostre szable — i Mausery i Nagany, czy Browningi — są do zabijania — i że zapewne niebawem będziemy musieli znowu zabijać — wszyscy by się roześmieli...

— Tak, to było! Ale się skończyło! Idziemy naprzód! Naprzód!

— I w nieopisanem uniesieniu zwycięstwa, wyż-

si o głowę, pełni kawalerskiej iście fantazji, nie zdając sobie z tego sprawy, że bolszewików trzeba będzie bić, bić, bić aż do skutku — kłusujemy płynnie, rozkosznie, wpatrujemy się z zachwytem w dal — i marzymy wszyscy...

Każdy o czym innym, oczywiście, a jednocześnie wszyscy o tem samym:

— Jak to będzie pięknie, kiedy ostatni moskal ucieknie z naszej ziemi, kiedy pokój będzie zawarty — i kiedy staniemy znowu przed rogiatkami warszawskimi, gotowi do uroczystej defilady.

— Dalibóg! Jeżeli nie wiedzieliście dotychczas, to teraz będziecie wiedzieli. Tak wygląda bezgraniczna pycha!

— — — — —

— Bo może nie wiecie, mili, że się już po świecie była rozeszła wieść o naszym konaniu?

Tak jest. Gruchnęła po szerokim świecie nowina, że Polska dogorywa...

Kolportowali ją przedewszystkiem ci wszyscy, którzy do tego ubogiego kraju przybyli bez grosza przy duszy i legitymowali się obcemi paszportami... Jako też ci, którzy w Polsce dorobili się kopalń i źródeł nafty, warsztatów i sklepów...

A także różni politycy z pod ciemnej gwiazdy,

jawni, albo zakonspirowani wrogowie naszego młodego państwa...

Wiwatowali bolszewicy, obiecując sobie w Warszawie nieziemskie rozkosze. Wiwatowali Niemcy, okropnie czegoś republikańskie i proletarjackie, oburzone na polską soldateskę i na polski imperjalizm...

W Anglii wypisywano o nas dzikie bzdury i wyprawiano półoficjalny pogrzeb — rządowi i polskiej nacji — oczywiście, trzeciej klasy...

Podziemna robota Sowietów wydała pewne owoce. Każdy wagon amunicji, każdy transport środków opatrunkowych, każdy niemal mundur...

20 sierpnia.

Jak świat światem, nie widziano jeszcze takiej masy polskiej kawalerji...! Od czasu wyruszenia na front spotykaliśmy się z oddziałkami, oddziałami, liczącymi po kilkaset szabel: jak się zebrały do kupy dwa szwadrony, to już zaraz podnoszono okrutny gwałt i puszczo się, jak żaba na kazaniu...

— Ba, ba! Spójrzcie jeno, dobrzy ludzie, jakie nas gromady wyciągnęły!...

Cztery pułki kawalerji idą oto forsownym marszem z pięknego i poetycznego miasta Mławy, sztychem, pod skrzydło 4-ej armji bolszewickiej...

Ucieka czerwona hołota, aż się kurzy! A my za nią, ile sił w koniach. Niektórzy gadają, że to już po balu, bo się kozactwo Gaja przedarło przez naszą piechotę, narobiwszy okrutnego bigosu. Nie wierzymy!

---

Ułani dawno już wyszli z mławskiego rynku — nieustannie jednak płyną konne szeregi, wypełniające uliczki miasta grzmotem kopyt. Wyległo na ulice, co żyje. Kto jeszcze miał wątpliwości co do siły naszych wojsk — poniechał ich teraz, gdy na ten kawaleryjski raid otrąbiono wsiadanego kilku tysiącom ludzi!

Prócz ułanów, szwoleżerów i ochotników ciągną jeszcze baterje lekkie i szwadrony karabinów maszynowych, napełniające serca nasze osobliwą uciechą:

— Oj, bo też było nam brak maszynek przez cały czas tej wojny!

Zgiełk w Mławie nieopisany. Ludzie, jadący na szpicy, klną, jak marynarze... Aż uszy wędzną słuchać!

Ale wszystkich zakasowuje siostrzyczka, która się zkadś wzięła i przyplątała do nas i która wymyśla i przeklina, jak sam Lucyper wcielony... W hajdawerach, zamaszysta, krótko ostrzyżona, niesamowicie rezolutna, budzi powszechny podziw. Siedzi konno na niedużym mierzynku i prze, gdzie najgorszy ścisk.



— Lewa wolna! Lewa wolna, s... syny!

Tu słowem bluźnie, tam harapem świśnie... Z jakimś porucznikiem od taborytów wszczyna homerycki dialog, zakończony socyzstem:

— Psiakrew!

Porucznik cofa się na pozycje, z góry upatrzone. W tłumie cywilów i w szeregach żołnierskich ryk...!

— Brawo, siostra! Niech żyje siostra!

A ona uśmiecha się tylko, macha ręką, replikuje kilku niecenzuralnymi apostrofami — i pcha konia dalej, przez ciżbę łyków, chłopów i wałęsających się piechurów.

— Morowa dziewczucha!

Nie wszyscy może zachwycają się tą osobliwą siostrą miłosierdzia w jednakowym stopniu, są i tacy, którzy szepczą tajemniczo, że ją widziano podobno w szeregach nieprzyjaciół.

Ale nikt temu na razie nie daje wiary; rzecz byłaby zbyt potworna i trudna do pojęcia...

— — — — —  
Wyciągnęliśmy się teraz długim węzłem, na jakieś pięć a może i więcej kilometrów i wlecemy za sobą tumany kurzu.

Miejscowość pusta, otwarta. Jak okiem sięgnąć, wzgórze jałowe i ugory, zlekka falujące. Gdzieś, na samym horyzoncie, odcina się czarna granica borów...

Traktem, rozrzutnie szerokim, dowolnym i nieokopanym, pustoszą wielką — idziemy ku pruskiej granicy.

Siostra z nami.

Obok pierwszego szeregu iedzie, szczerząc białe zęby do któregoś z plutonowych — i rozdaje ukradkiem (Horpyna mała!) kułaki i całusy...

Niewiele sobie robi z oficerów. Podobno z niejednym zna się bliżej...

Jest za pan-brat z ochotnikami...

W świetle zachodzącego słońca, dziwnie rudem, nabiera to wszystko jakichś znajomych, choć dalekich tonów...

— Już wiem! Za chwilę tryśnie w marnych piaskach — zdrój rozigrany, otworzy się jar tajemniczy — i zaszumi młyńskie koło, odkrywając gusła przeszłości...

Tak oto, najniespodziewaniej w świecie, natrafiamy co krok na reminiscencje z Trylogii...

Kozacką czarownicę gra tym razem młoda dziewczyna z opaską czerwonego krzyża na ramieniu.

(Nigdy się nie dowiedziałem, jak wyglądał epilog jednej z następnych nocy: aresztowana pod ciężkim zarzutem szpiegostwa, znikła nam siostra raz na zawsze z horyzontu...)

---

Pod kopytami końskimi zgrzyta coraz częściej porzucone żelastwo. Tu i ówdzie leży — ominięty starannie — granat, wyrzucony z jaszczaka artyleryjskiego... Granatów tych widzimy coraz więcej; widać panika bolszewickiego odwrotu potęgowała się z godziny na godzinę... Spostrzegamy niebawem pierwsze, wzdęte trupy końskie, niewidziane od dni kilku... Kuchnie polowe, stoczone do rowów... Powózki, uprzęże...

Czerwony teatr zmienił dekorację: to wszystko!

Jest już rzeczą pewną, że pogrom bolszewików jest zupełny i całkowity. Nie zmieni tego faktu hjobowa wieść o klęsce niedoświadczonego żołnierza polskiego pod Chorzalami — i o krwawej hekatombie trupów, zostawionej niemal przy samej granicy przez uchodzące w popłochu kozactwo...

---

Ztąd, wielkimi marszami, potykając się często, wracamy... Konie zdrożone, ludzie ledwo się na siodłach trzymają z umęczenia.

Każdy dzień przynosi teraz zwycięstwo, każdy dzień posuwa naprzód awangardy naszych wojsk.

Oddalając się od stolicy, wojna traci stopniowo na ostrości. Tak mniemają przynajmniej ci, którzy emocjonowali się obroną Warszawy dopóty tyl-

ko, dopóki huk dział wstrząsał szybami domów przedmieścia... Gdy to ustało, osłabło, wnet w pewnych sferach patriotyczne napięcie: partja kończy się najoczywistszą wygraną — więc można powrócić do spraw innego zgoła porządku...

— — — — — — — — — —

Zaczęto interesować się namiętnie kwestjami teatralnych debiutów, kreacjami uroczych dam: Weroniki Chateaubriand, Liljany Podskok, albo Karoliny Pyć.... Wróciły do siły dolary, dziwnie bezużyteczne w dniach sierpniowych...

I handel, do niedawna struchlały, nagle przetańczył: na jednego uczciwego kupca rzuciło się dziesięciu sprytnych kusicieli, tłumacząc gorączkowo, że likwidacją bolszewickiej „masy upadłości“ zajmą się z dobrym skutkiem żołnierze... że społeczeństwo jednak, u podstaw pracujące, winno niezwłocznie zająć się finansowaniem wszystkiego, co wojna dała w procencie...

Końmi zaczęto handlować, lokomobilami, powozami, konserwami, kocami...

Merkury, patron kupców i złodziei, zarumienił się aż po same włosy; dużo już widział — ale czegoś podobnego nie widział!

I tak oto rojiło się w Warszawie, podczas gdy na

kresach etnograficznej Polski front wciąż jeszcze broczył krwią i wiara urabiała sobie ręce po łokcie...

Wrzesień.

Przelatują jeszcze ulicami Warszawy zakurzone auta wojskowe, wiozące wysokich dygnitarzy; przemykają się motocykliści, rozwożący rozkazy; od czasu do czasu zjawia się wóz ambulansowy — i wsiąka — niejako wstydliwie, w dziedzińcach wojskowych szpitali...

Stolica odzyskuje swój normalny wygląd.

Taki już jest los ważnych spraw, że się przy nich znakomicie hodują różne mniejsze i większe szczupaki, bardzo żarłoczne...

Więc i teraz, ochłonawszy z ciężkiej gorączki, mając wojenne terminy za ukończone prawie — zjawiają się, jak grzyby po deszczu, różni ludkowie.

Darmoby pytać, gdzie spędzili burzliwe dni sierpniowe? Zginęli z horyzontu, to pewne. A teraz, to odnajdują się znowu.

— Voila!

Kawiarnie i restauracje trzęsą się od plotek i anegdot. Przy stolikach z czarną kawą krają sowiecką Rosję na ćwierci, anektując Murman i obie Syberje.

Szczerbią dowcip na armji i wypiekają aktualne pamflety.

Notoryczni spekulanci, którzy byli się w swoim czasie polokowali w różnych egzotycznych, zkądinąd zupełnie dziwacznych instytucjach obywatelskich, jak naprzykład w „Towarzystwie hygjeny pozafrontowej“, albo w „Klubie dokładnego rozdziału papierosów“, czy też, dajmy na to, w jakimś innem zupełnie niesamowitem „Stowarzyszeniu“ — wyłażą z problematycznym wdziękiem na światło dzienne.

Bywają momenty srodze wzruszające:

— Pan Antoni! Kopę lat...

— Kogo widzę? Pana Franciszka Dobrodzieja!  
I gdzież to się bywało?

— Ja? Ja byłem na froncie, oczywiście... Organizowałem wypożyczalnię masek przeciwgazowych...  
I wogóle — — —

— Co pan mówi? — Brawo!

— A pan kochany?

— Jeździłem kilka razy z czołówką metodystów do szturmowych bataljonów! Kapitalni! Co za werwa!

— Metodyści?

— Ależ, nie. Nasi żołnierze!

Kobiety są nieraz jeszcze bardziej roztkliwiająca.

— Czy pan się nie spotkał na linji z Melą?

— Na linji? Na której właściwie?

— No, na tej... Wie pan! Dwa dni tam byłam, w samym środku ognia...

— Gdzie?

— W Łomży. Nad Bugiem.

— Jak pani mówi? W Łomży nad Bugiem? Co to za miejscowość?

— Eee, pana się zawsze niesmaczne żarty trzymają. Byłam i już! — Więc pan się z Melą nie spotkał?

— Niestety, nie.

— Pisała mi pocztą polową list, że jest zachwycona...

— Czem?

— Nie czem, tylko kim: rotmistrzem Burzyńskim! Bo ona się zaręczyła na froncie. Z francuskim lotnikiem!

— Który się nazywa Burzyński?

— Ależ nie! Jak pan niepojętny. Tamten się nazywa jakoś zabawnie, na „ant“: — Vaillant... Bailant... Nie pamiętam. — A Burzyński to jej ostatni flirt...

— — — — —  
Ptactwo obce, które się zleciało do Warszawy po zażegnaniu bezpośredniego niebezpieczeństwa

i odparciu bolszewików — ćwierka w tym ptaszeńcu wcale wesoło.

Nietyle słowiki, ile kukułki — przepowiadali ci ichmoście różne możliwe i niemożliwe rzeczy. Ci, którzy przed kilku tygodniami kiwali nad Polską, jak nad nieuleczalnie chorym... Jakże cudownie wczuwają się teraz w psychikę polaków! Jakże wzniosłe prawdy głoszą o niespożytej energii rasy polskiej!

Likwidacja polskiej masy upadłości, tak bardzo przez niektórych za granicą spodziewana — nie nastąpiła.

---

### Październik.

Nie wiedzą o tem wszystkim nic szwoleżerowie, ciągnący borem-lasem... „Czerwony teatr” pochłonął ich do tego stopnia, że zapomnieli o Warszawie i jej przedziwnej... elastyczności...

Skoro wiedzą, że przelana krew nie poszła na marne — godzą się z humorem na resztę!

Czasem, rzadko, buntują się: dzieje się to zazwyczaj wtedy, kiedy kuchnie polowe nie dopisują, zawieruszając cenną zupę kędyś, w matecznikach białoruskich puszczy... Ale są to bunty nawskroś niewinne!

---



Z takiego właśnie matecznika, nieoczekiwanie, jak piorun, wypadamy pewnego pięknego dnia, olśnieni łuną, czynioną przez własne nasze szable.

Jest to ostatnia szarża tej wojny.

Miejsce postoju, w listopadzie.

List ten pragnąłbym poświęcić rozmyślaniom, Kochani Przyjaciele: obchodzimy dziś walną rocznicę: mijają dziś cztery miesiące od owego pamiętnego dnia kiedym wstąpił do wojska.

Mógłby mi ktoś powiedzieć, że to jest niedługa służba... O, nie!

— Jest to długa służba, bo przez ten czas armja nasza odparła wroga na całej linii. Jest to długa służba choćby dlatego, że sytuacja w kraju uległa wielu zasadniczym, kolejnym zmianom na lepsze... A że my, ochotnicy, dumą nie ustępujemy hiszpańskim gran-dom i rościmy sobie pretensję do okruszyny tych pochwał, jakie są stałym udziałem naszego wojska — poświęcam tę kartę bohaterowi walk o Warszawę: Ochotnikowi.

Zapewne po takim wstępie, do wielu zarzutów, które nam stawiano, przybędzie jeszcze zarzut... megalomanji... Cóż robić, Drogie Państwo! Lata i miesiące przeminą a ja będę wciąż twierdził, że nasza akcja pod Nieporętem, lub Płońskiem była osią całej

kampanji. Może być, że podobnie rozumuje jakiś Kuba Żychoń, Pyzdroń, owczarz z Kościelnej, albo innej Wólki, który twierdzi, że równik i oba bieguny kuli ziemskiej znajdują się w jego wsi i parafji. Trudno. Wiara Kuby Żychońa, czy Pyzdronia, leczy czasem nietylko głupie owce, ale i ludzi. Zresztą, z chwilą, gdy ochotnik przestaje być trochę fanatykiem, przestaje być sobą. Takie jest moje zdanie.

Czem się odznacza ochotnik? Poborowy, regularny żołnierz, przewyższa go niezawodnie wyszkoleniem, karnością i tak dalej. Ale pewien osobliwy, powiedziałbym, fanatyczny upór — to specyficzny rys ochotnika. Musi być ogromnie gorąco tego dnia, kiedy adwokat, student, czy literat, ni stąd, ni zowąd, porzuca swoje cywilne zatrudnienia i gorączkowo wdziewa mundur. Podoficerowie szarże mają potem przez długie dni istne utrapienie z osobliwym wojskiem, które gada w szeregach, myli się przy komendzie, konsekwentnie obnaża haniebne rany, jakie ryje w ludzkich duszach zadawniony stan cywilny! Ale później, na froncie, obraz zmienia się odrazu. Ochotnik wykonywa dane mu polecenia z gorliwością rozbrajającą, w ogniu stoi, jak mur, może bardzo długo nie jeść, nie pić i nie spać a oficerów słucha się ślepo, choć na

pierwszym postoju wie wszystko zawsze lepiej i lituje się nieskończenie nad zaślepieniem generalnego sztabu, który nie wiedział, że pod tą a tą wierzwą stał wór kartofli, a nie baterja.

Ochotnik jest wrażliwy i nerwowy. Pochwała wprawia go w zachwyt, najmniejsza niesprawiedliwość boli dotkliwie. Ochotnik bywa nade wszystko — histeryczny. Martwi się, jak stara panna, że nie został wymieniony w rozkazie dziennym czy komunikacie sztabowym. Nie daj Boże, żeby jakiś sylf redakcyjny, czy korespondent wojenny, doniósł szerzej publiczności, że karabin maszynowy w wiosce Kaprawicy został zdobyty przez pierwszy szwadron pierwszego pułku, jeśli to był, przypuśćmy, pierwszy szwadron dwieście pierwszgo! Należy przytem rozumieć wyraźnie, że o swoje prywatne zdobycze ochotnik jest mniej zazdrosny. Ale gdy odmawiają jego pułkowi, szwadronowi, czy plutonowi tej sławy, na jaką, jego zdaniem zasłużył, ochotnik bierze, nazywając rzecz po imieniu — jasna cholera.

To też nielada zadaniem jest opisać jakąś dokonaną akcję bojową. Panowie sprawozdawcy wojenni nie zdają sobie często sprawy z tego, ile krwi mogą napsuć cichym naogół ludziom przez nieściste opowiadania o działalności tych ludzi. Tu się w nawiasie do-

daje, że nie wadziłoby, gdyby taki pan sprawozdawca miał za sobą conajmniej akademję sztabu generalnego, pięćdziesiąt lat służby wojskowej i kilkanaście lat frontu... Inna rzecz, że taki pan byłby wówczas zapewne generałem broni, albo feldmarszałkiem. Trudno. Ochotnik powiada sobie, że nawet dziennikarz musi żyć... Ale się bardzo gniewa... i klnie bardzo brzydko.

Ochotnik miewa różne ambicje. Często bardzo może i śmieszne. Nie chciałby, na przykład, żeby ktoś na odcinku poznał w nim ochotnika. Jeżeli zdarzają się wypadki, że jakiś ochotnik wypina naprzód pierś, ozdobioną kokardką, albo akcentuje znamienite przewagi swego życia cywilnego, oznacza to niechybnie, że w niedługim czasie zniknie z frontu i zadekuje się gdzieś na tyłach. Na dekowanie się ochotnik jest bardzo wrażliwy. Przesadza w tem zresztą mocno, jak i w wielu innych rzeczach, przyczem bywa razem naiwny i arogancki. Gotów jest twierdzić, że przyjęcie niewdzięcznej posady ministra Rzeczypospolitej Polskiej jest kwalifikowaniem dekowaniem się od służby wojskowej. Ochotnik nienawidzi misji, komisji, tudzież instancji. Ochotnik jest często imperjalistą i militarystą. Tęskni nieraz do dyktatury wojskowej i widziałby chętnie na czele tej dyktatury swojego... podporucznika. Ochotnik zazwyczaj uwielbia swoje szarże

a ma dla nich uczucia pensjonarki. Jeżeli nie nosi potajemnie w medaljonie włosów swojego przełożonego — to wynika to z faktu, że ten przełożony strzyże się na zero, więc mu niema co uciąć. Ochotnik darowuje dowódcy: naiwność, niewyrobienie, nawet głupotę, nawet brutalność. — Nie darowuje nigdy tchórzostwa. Ochotnik czasem się buntuje. — Bunt ochotnika potrafi poskromić czteroletnie dziecko. Gdyby się zdarzył jakiś inny bunt, co jest, zdaje się, nieprawdopodobieństwem — mam wrażenie, że nie byłoby na całym świecie takiej siły i takiej represji, któraby mogła ten bunt ugasić. Chyba woła jednego jedyne go człowieka. Na szczęście, wierzę, człowiek ten mieszka gdzieś w Polsce i patrzy w oblicze swego narodu spokojnemi, mocnemi, wszystko rozumiejącemi oczami....

Ochotnik przyszedł zewsząd. — Z pałaców, z dworów, chat, warsztatów, auli uniwersyteckich, klaszkołnych, kantorów, biur, poddaszy i suterren. Odzwierciadła cnoty, i wady wszystkich klas społecznych, ma sto różnych orientacji politycznych i kiedyś niezawodnie gdy się wojna skończy, będzie wołał na różne głosy: „Precz z nim“ albo „Niech żyje!“

Ale, gdy uderzy znowu wielka godzina próby — ochotnik porzuci pług, cyrkiel, pióro, trybunę — i zamelduje się Ojczyźnie. — Na ochotnika!

KONIEC.

17185

061697

60

79/6

**Wojewódzka Biblioteka  
Publiczna w Opolu**

**CM 313644**



000-313644-00-0